EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 3 września 1933 R. | NR. 36 (49)

Straszna rzeczywistość

Wielka pomocnica

Bezdroża prostactwa

Prawda o Poradniach

Nowela Krzywickiej

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Listy do „Epoki".

AUTORZY: Wasowski. Czarnowski. Mironowicz. Lukrec. Burdecki. Krzywicka.

R

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

N. I. R. A.

N. I. R. A. jest popularnym obecnie w Ameryce skrótem nazwy instytucji, której zadaniem jest ekonomiczna odbudowa kraju — National Industrial Recovery Administration. Kodeks pracy, ustalony przez nią, wszedł w życie 1-go sierpnia. Według prez. Roosevelta jest on „częścią akcji, obejmującej cały naród, a zmierzającej do zwyżki płac i dostarczenia pracy, co oznacza jednocześnie wzmożenie siły nabywczej i ożywienie wymiany. Akcja ta wymaga solidarnej współpracy wszystkich obywateli."

„Kodeks" ustala ogólny 40-godzinny tydzień pracy z zarobkiem minimalnym 14 — 15 dolarów. Zmierza przedewszystkiem do poprawy położenia „sztywnych kołnierzyków", czyli urzędników, którzy są najliczniejszą warstwą drobnych nabywców. Kodeks dzięki swej elastyczności znajdzie jednak zastosowanie do innych również rodzajów zajęć i gałęzi produkcji.

Tydzień „sztywnych kołnierzy" ograniczony zostaje do 40 godzin; dopuszczalne jednak są 52 godziny pracy w magazynach detalicznych. Tydzień fabryczny zmniejszony został do 35 godzin. Jedynie w wyjątkowych wypadkach dozwolony jest 40-godzinny tydzień pracy, jednak na okres nie dłuższy ponad 1½ miesiąca. Ograniczenia nie obejmują przedsiębiorstw, które zatrudniają tylko dwie osoby, wolnych zawodów, urzędników, zarabiających ponad 35 dolarów tygodniowo, ani miast, których zaludnienie nie przekracza 2.500 mieszkańców.

Gen. Johnson, szef N. I. R. A., oświadczył, że należy zwalczyć przedewszystkiem dwie grupy: urzędników-egoistów, którzy w złej woli będą omijali i podważali przepisy kodeksu, oraz pracowników-egoistów, którzy dążyć będą do jaknajwiększych korzyści dla siebie i swoich związków zawodowych. Szef N. I. R. A., do którego dyspozycji oddano 600 „kontrolerów kodeksowych", zamierza stosować jaknajostrzejszą presję wobec tych dwóch kategoryj egoistów.

Propaganda N. I. R. A. korzysta z rozległej pomocy prasy i radja. Z chwilą zatwierdzenia „Kodeksu" przez prez. Roosevelta, N. I. R. A. wystosowała telegramy do Izb handlowych wszystkich miast, liczących ponad 10 tysięcy ludności, z żądaniem rychłego przystąpienia do nowego programu. Do miljonów obywateli, zatrudniających powyżej 2 osób, wysłano ulotki propagandowe i formularze przystąpienia. Szefem reklamy mianowany został Charles Horner, który z wielkiem powodzeniem prowadził swego czasu propagandę pożyczek wojennych i *Liberty Bonds*.

Roosevelt wraz ze swoim „sztabem mózgów" oraz gen. Johnsonem podjęli też kampanję radjową. Od realizacji kodeksu uzależniono ocalenie narodowe. Odrzucających nowy program ochrzczono mianem zdrajców, zaprzańców i heretyków. Rychło odczują oni samorzutną akcję bojkotową—woła Waszyngton—gdyż szeroki ogół, kierowany uczuciem patrjotyzmu, nie będzie kupował ich wyrobów. N. I. R. A. puściła w obieg afisze i nalepki ze znakiem Niebieskiego Orła. „Kupujcie jedynie produkty z znakiem Niebieskiego Orła, które są robione i sprzedawane zgodnie z nakazami i warunkami kodeksowemi".

W miastach przemysłowych nowy program pracy spotkał się z entuzjastycznem przyjęciem. W pierwszych już dniach przeszło miljon pracowników zyskał wyższe płace za krótszy czas pracy. Np. w Pittsburgu zarobki robotników, zatrudnionych w odlewniach stali, zwiększyły się o 4 miljony dolarów miesięcznie.

Mnożą się jednak znaki niepowodzenia planu: zwyżka płac zneutralizowana została przez podrożenie kosztów utrzymania, w przemyśle węglowym powstały nowe konflikty na tle stosowania przepisów kodeksowych, a przemysł stalowy i naftowy przygotowują planową kontrakcję.

KARYKATURALNA SYMBIOZA

Trzecia Rzesza usiłuje zastosować niwelujące metody („Gleichschaltung") także do... masonerji niemieckiej. Nacjonalizm niemiecki zawsze odnosił się do wolnomularzy z nienawiścią. Lecz nie mógł wyeliminować z dziejów i tradycji nazwisk wielkich Niemców, którzy byli masonami: Fryderyk Wielki, Wilhelm I, Lessing, Goethe, Humbold byli przecież gorliwymi wyznawcami idei wolnomularskich.

Zachowując tedy tę tradycję formalnie, zastosowano metodę „uzgodnienia" masonerji z tendenciami regime'u. Loża, założona przez Fryderyka II-go, przeistoczyła się w „Narodowy Ład Chrześcijański", Wielka Loża Niemiec w — Narodowy Zbór Templarjuszy. Obrzędy nowoochrzczonych lóż winny zgodnie z nakazem reorganizatorów hitlerowskich uwzględniać tradycję chrystjanizmu i... aryjski kult słońca. Wolnomularstwo powinno po tej reformie stać się apostołem neo-chrystjanizmu germańskiego! — wołają wyznaczeni do dzieła reformy hitlerowcy.

Zbyt odległa jednak jest droga od humanitaryzmu do rasizmu, zbyt wielki rozstęp oddziela myśl wolną od barbarzyńskiej tępoty, aby na chwilę bodaj można było zwątpić o właściwym charakterze „przemiany" masonerji: obsadzono loże zaufanymi i oddanymi regimowi ludźmi, a pod pokrywką bezprawnie nadużywanej nazwy zawiera się treść, najbardziej obca ideom i hasłom wolnomularstwa.

1914 — 1933

Deutsche Allgemeine Zeitung i *Lokal Anzeiger* zamieściły wślad za prasą urzędową cykl artykułów, poświęconych rocznicy sierpniowej 1914-go roku. Wywody „rocznicowe" zmierzają do zgodnego wniosku, że dzień 1 sierpnia 1914 był... początkiem rewolucji narodowej, był dniem narodzin nowej duszy niemieckiej. Nieudolność generałów, zdrada fałszywych patrjotów, zgotowały narodowi klęskę, i dopiero rok 1933 — tryumf Hitlera — naprawił skandal historyczny. Powołaniem wielkiego Adolfa jest realizacja obietnic kaisera Wilhelma. „Każdy naród — pisze *Deutsche Allgemeine Ztg.* — ma swoje dni odświętne, dni dumy i dni upokorzenia. Dniami naszej chwały są Tannenberg i Skagerrak, Sedan i Lipsk, Leuthen i Fehrbellin. Mrocznemi dniami klęski są 8 sierpnia i 9 listopada 1918 — Jena, Wersal. Dniami święta naszego są pierwsze tygodnie sierpniowe

1914 roku, gdy najlepsza, heroiczna armja wyruszyła w bój, który miał rozstrzygnąć o przyszłości Niemiec — oraz marcowe tygodnie roku 1933, gdy wola i testament tej armji znalazły zadośćuczynienie".

Vossische Zeitung również pisze o bliskiem powinowactwie, jakie łączy ducha roku 1914 z dziełem roku 1933: r. 1914 rozpoczął, a r. 1933 zrealizował „najdonioślejsze dla Rzeszy dzieło zniszczenia partykularyzmów na rzecz żywotnej solidarności. Zwycięski rok 1871 ustalił jedność państwową Niemiec tylko na karcie geograficznej, 1914 zrealizował ją w sercach, a hitleryzm 1933 uczynił ją spiżową rzeczywistością".

DEKALOG MAŁŻEŃSKI

Dziennik włoski *La Stampa* ogłosił następujące 10 przykazań dla kobiet Italji:

1. Kochaj ponad wszystko męża i bliźnich. Lecz pamiętaj, że dom i dorobek należą do męża, a nie do bliźnich.
2. Czcij męża. Nie traktuj go jak przyjaciółkę, której zwierzasz się z drobnych trosk i przykrości.
3. Bądź zawsze uśmiechnięta. Ukrywaj przed mężem swe zmartwienia pod maską wesołości i beztroskiego wyglądu.
4. Bądź oszczędna.
5. Staraj się, by dzieci były czyste, świeże i uśmiechnięte na widok ojca.
6. Pamiętaj o uległości i ustępliwości, która jest twoją powinnością.
7. Okazuj najwyższy szacunek matce męża, która go wychowała.
8. Nie myśl o szczęściu, lecz o użyteczności swojej osoby.
9. Zawsze obdarzaj męża zaufaniem.
10. Gdy mąż cię opuści, oczekuj go wiernie i cierpliwie.

KOLONJA EUGENICZNA

Eugenista angielski, Wicksteed Armstrong organizuje w Brazylji, na odludnem dotychczas płaskowzgórzu Świętej Katarzyny pierwszą „kolonję eugeniczną Wielkiej Brytanji, przeznaczoną dla mężczyzn i kobiet, wybranych na podstawie naukowej selekcji". Obszar przyszłej kolonji jest olbrzymią i niezamieszkaną przestrzenią, którą pokrywają jeszcze dziewicze lasy.

Eksperyment Armstronga zmierza do „idealnego doboru ludzi, zdrowych na umyśle i ciele, nieobarczonych żadnem upośledzeniem dziedzicznem czy nabytem". Sprzyjające warunki naturalne pozwolą — zdaniem Armstronga — na „racjonalną hodowlę ludzi zgodnie z naukowemi nakazami nowoczesnej eugeniki". Koncepcja Armstronga spotkała się z przychylnem przyjęciem wśród niektórych lekarzy angielskich, wskazujących na znaczenie projektu kolonji, która „nie będzie dziełem rabunkowej eksploatacji, lecz terenem wspaniałych prób naukowych".

Jeszcze jedna z rzędu wielu, wielu prób tego rodzaju „wysp szczęścia", które jednak nigdy nie zdołały rozwiązać ani jednego poważnego zagadnienia życia zbiorowego.

STRASZNA RZECZYWISTOŚĆ

W n-rze 34-ym *Epoki* zamieściliśmy recenzję z książki Konrada Wrzosa p. t. „Oko w oko z kryzysem". W recenzji tej p. Jan Waśniewski zwrócił uwagę na wartość książki Wrzosa, jako pierwszorzędnego dokumentu naszych czasów. Istotnie, w naszej publicystyce społecznej jest to praca wyjątkowa, materjał doskonale ułatwiający ocenę sytuacji społeczno-gospodarczej w Polsce. Takich książek mamy b. mało i pod tym względem różnimy się od krajów, gdzie ten rodzaj publicystyki jest jaknajobficiej reprezentowany.

Nasza literatura społeczna, pełna wywodów abstrakcyjnych i teoretycznych, grzeszy brakiem materjału faktycznego. Do tego materjału należy nietylko statystyka, ale i najżywszy obraz życia, to, co się samemu widzi i słyszy. Stąd w dziedzinie rzeczy gospodarczych tyle dziś nowych dokumentów, wywiadów, reportaży. Dlatego też niejeden pisarz-ekonomista zabrał się do roboty typowo dziennikarskiej: jeździ, rozmawia z ludźmi wszelkich stanów, zbiera samodzielnie materjał aktualny. Opuściwszy na jakiś czas bibjotekę, udaje się do miast i wsi, fabryk, hut, kopalń, ogląda świat pracy i poznaje świat myśli i uczuć różnych środowisk społecznych. Ta ostatnia pozycja nabiera coraz większej wagi w przemianach społeczno-politycznych, któremi najbardziej zaskoczeni są ludzie dalecy od życia: przewertowali setki dzieł, odbyli najmozolniejsze studja, przemyśleli wszystkie teorje, a nigdy nie zetknęli się z żywiołem ludzkim.

Dziennikarz, obdarzony dobrym zmysłem obserwacyjnym, chwytający rzeczy najbardziej wymowne i charakterystyczne, oddaje wielką przysługę i naukom społecznym i działaczom politycznym: zbliża ich do rzeczywistości i ułatwia należytą jej ocenę.

Naogół nasza literatura społeczna uderza słabem poczuciem rzeczywistości. Tak, jak i nasza opinja publiczna. Niezmiernie mało wiemy. Nie uczymy się życia. Nie oglądamy spraw społecznych w ich przejawach najbardziej realnych, najważniejszych. Brak tej *wiedzy* życia widać w naszych publikacjach, wykładach, odczytach, rozmowach. Wszyscy, oczywiście, mają „poglądy", „koncepcje", ale prawdziwej znajomości społecznego życia jaknajmniej. Prócz lenistwa umysłowego, niesumienności, zarozumiałości, odgrywa tu też pewną rolę odwracanie się od prawd nieprzyjemnych, od rzeczy niepokojących.

Lęk i tchórzostwo idzie tu w parze z tupetem ignorancji.

Rzeczywistość jest nieustającą rewelacją, rodzi wciąż nowe, zastanawiające zjawiska, które rozsadzają ustalone szematy myślowe. Kto chce rozumieć rzeczywistość dzisiejszą, musi uważnie wpatrywać się w kalejdoskop życia, nie zamykając oczu, kiedy przebiegają przed nami obrazy najbardziej ponure i groźne. Bo te obrazy są bodaj najważniejsze w całym współczesnym dramacie dziejowym.

W książce Wrzosa jest sporo takich obrazów ponurych i niepokojących. Trzeba na nie spojrzeć poważnie. Nie lękać się prawdy rzeczy strasznych, przytłaczających — w obrazach najkrańcowszej niedoli, nędzy i upośledzenia.

Wiedzę o straszliwych warunkach, w jakich żyją rzesze *bezrobotnych,* wzbogaca świeżo wydana rozprawa Haliny Krahelskiej i Stefana Prussa*).

Rzecz zgoła inna, niż praca Wrzosa. Nie reportaż, lecz sprawozdanie z ankiety. Ale te właśnie dwa rodzaje prac uzupełniają się doskonale. W reportażu — barwny opis i rozmowa, tu — cyfry i tablice statystyczne. Pierwszy rodzaj — łatwiejszy, drugi wymaga silniejszego współdziałania wyobraźni, która z cyfr wysnuwa cały obraz życia.

Cyfry, zebrane przez Krahelską i Prussa, dotyczą wielu szczegółów życia bezrobotnych i pozwalają na odtworzenie sobie obrazu ich bytowania. W nieocenionych i wstrząsających „Pamiętnikach bezrobotnych" mieliśmy najpełniejszy wyraz uczuć i sądów ludzi, pozbawionych pracy i chleba. Te uczucia i sądy stają się tem zrozumialsze, im lepiej wnikniemy w rezultaty badań ankietowych, podane przez Krahelską i Prussa.

Praca ta ma niebylejakie znaczenie. Poznajemy tu warunki życia ludzi, którzy nie mają nic do stracenia. W ocenie układu sił moralnych i psychicznych społeczeństwa ta pozycja — *ludzi, którzy nie mają nic do stracenia* — musi być brana pod najpilniejszą uwagę. Również — w przewidywaniach i horoskopach społeczno - politycznych. W różnych momentach napięcia walk społecznych roli tego właśnie czynnika nie doceniano i stąd też płynął niejeden wielki, katastrofalny błąd w działaniach politycznych. Trzeba o tym żywiole ludzkim nieustannie pamiętać. Trzeba *widzieć* ich rzeczywistość materialna i moralną, żeby dobrze rozumieć jedno ze źródeł społecznych niespodzianek. Ich życie — życie ludzi, którzy nie mają nic do stracenia — to najważniejsza sprawa socjalna naszych czasów, zawierająca w sobie możliwości przeobrażeń najdalej idących. Bowiem tu, na tym terenie, wszelka odmiana myśli zachowawczej jest paradoksem, ironją lub szyderstwem.

Badania ankietowe przeprowadzono w następujących ośrodkach: Warszawa, Łódź, Ozorków i okolice: Toruń, Grudziądz, Siedlce, Ruda Śląska i okolice. Ogółem zbadano życie 1.385 rodzin, w tem 3.563 osoby (1.822 kobiety i 1.741 mężczyzn). Dzieci i młodzież stanowią w tych rodzinach około 50% ogólnej liczby osób.

Spójrzmy na niektóre tablice statystyczne. Tablica 13-ta: warunki sypiania w rodzinach bezrobotnych. Na 312 rodzin zbadanych (włókniarze w Łodzi metalowcy i stolarze w Warszawie) tylko 29 rodzin, w których na jeden sprzęt do spania, (łóżko, kanapa, zestawione krzesła, i t. p.) przypada jedna osoba. W 69 rodzinach po 2 osoby, w 49-ciu po 3, w 29 po 4, w 18-tu po 5 osób! Znaleziono 2 rodziny, w których na jednym sprzęcie sypia 6 albo 7 osób.

Tablica 17-ta: warunki sypiania rodzin, zakażonych gruźlicą w mieszkaniach jednoizbowych, według badań Wydziału Zdrowotności Publicznej Magistratu m. Łodzi. Ogółem mieszkań takich — 7.799. Jedno łóżko na jedną osobę tylko w 297 mieszkaniach. Jedno łóżko na dwie osoby w 3.927 mieszkaniach, na 3 osoby — w 2.868 mieszkaniach, na 4 osoby — w 610 mieszkaniach. Czyli w 7.799 mieszkaniach jednoizbowych, zamieszkanych przez chorych na gruźlicę, odsetek sypiający w jednem łóżku po 2 i 3 osoby wynosi 87.1%.

Tu pole do wyobraźni, tu okazja do odwagi w patrzeniu na rzeczywistość społeczną. I do wniosków natury społeczno - obyczajowej.

Tablica 33-cia: inwentarz mebli i sprzętów w rodzinach bezrobotnych, objętych ankietą o budżetach domowych. Na 100 osób, których dotyczyło badanie, przypada 46 krzeseł, stołków i ławek 14, kanap 2, łóżek zwykłych 34, noży 65, widelcy 75 i t. d. Cyfry te nadzwyczajnie ułatwiają odpowiedź na pytanie, jak ci ludzie żyją i co mają do stracenia.

Tablica 38-ma: stan posiadania bielizny w rodzinach bezrobotnych. Na 432 zbadane w tej mierze rodziny 131 rodzin nie posiada żadnej zmiany bielizny, 1 zmianę — 200 rodzin, 2 zmiany 66 rodzin i t. d. Więc: 30.3% nie posiada zmiany bielizny, 46.3% tylko jedną zmianę. Tak wygląda poziom cywilizacyjny ludzi w czasie „nadprodukcji" w tej również dziedzinie przemysłu. O stanie utrzymania bielizny świadczy okoliczność, że pranie w 38% wypadków obywa się bez mydła, w samej tylko wodzie.

Tablica 39-ta: Na 100 dzieci, których dotyczyło badanie, przypada 65 posiadających obuwie. Na 100 mężczyzn 65 posiada palta zimowe. Na 100 kobiet — palt zimowych 47. Na 100 osób — 67 ręczników.

Stan opalania mieszkań (tablica 42): z pośród 142 rodzin zbadanych 70.4% opalało mieszkania węglem, zbieranym na wałach, 8.4% opalało węglem, wydobywanym z bieda - szybów, 4.9% węglem kradzionym; łącznie więc rodziny, zdobywające węgiel w drodze wykraczania przeciw własności w tej czy innej formie, stanowią 83.7% ogólnej liczby badanych.

A teraz — inna sprawa, nad którą powinniby się zastanowić przeciwnicy regulacji urodzeń: na 100 matek co druga roniła, z liczby zaś poczętych przez nie dzieci zmarła piąta część.

Wobec cyfr powyższych nie zdziwi nikogo tablica 48-ma o zamachach samobójczych. W Warszawie w roku 1928-ym — 92 zamachy samobójcze wśród bezrobotnych, w roku zaś 1931 — 264.

Albo: w roku 1928-ym liczba podrzutków w Warszawie 483, w r. 1931-ym — 582. Albo jeszcze: w r. 1928-ym kradzieży zwykłych 9.216, w roku 1931-ym — 11.487.

I naturalnie: „Zjawisko wzrostu prostytucji pod wpływem bezrobocia ujawniło się również w naszych badaniach. Zpośród 42 rodzin włókniarzy w Ozorkowie, którzy podali dokładne dane o swych środkach do życia w okresie bezrobocia, 7% czerpie środki te z prostytucji żon i córek. Wśród bezrobotnych górników spotkaliśmy rodzinę (rodziców i 7-ro dzieci), w której macocha i 3 córki (najmłodsza lat 15), zaczęły zarobkować prostytucją wskutek bezrobocia ojca. Wśród zbadanych 51 metalowców warszawskich zdarzały się również wypadki utrzymywania całej rodziny przy pomocy prostytucji".

Wreszcie — jedna z uwag końcowych: „Wielkie przeludnienie izb i łóżek, duży odsetek sublokatorów, a więc ludzi obcych, sprawia, że dawne pojęcia o moralności seksualnej w układzie monogamicznego współżycia płci zostały w praktyce zrewidowane. W wielu rodzinach robotniczych (a tem-

*) *Halina Krahelska i Stefan Pruss:* Życie bezrobotnych Badania ankietowe. Wydawnictwo Instytutu Spraw Społecznych. Warszawa, 1933 r.

bardziej wśród bezrobotnych) dziewczęta rozpoczynają żyć seksualnie około 12 — 13-go roku.

Przytoczyliśmy tylko niektóre cyfry i spostrzeżenia. Należy pracę Haliny Krahelskiej i Stefana Prussa przestudjować i przemyśleć jaknajsumienniej, żeby zdobyć nowy zasób wiedzy o najpotworniejszej prawdzie naszych czasów.

A im więcej tej wiedzy, tem odważniejsze wnioski i wskazania.

J. W.

WIELKA POMOCNICA

W przemówieniu, wygłoszonem na Międzynarodowym Kongresie Historyków, p. premjer Jędrzejewicz powiedział m. in.:

„Można słusznie kwestjonować starą maksymę: historia est magistra vitae. Istotnie wątpię, aby specjalista historyk dlatego tylko, że jest historykiem, lepiej od innych przygotowany był do pracy politycznej. Niemniej jednak jest faktem, że ulubioną lekturą wielu wybitnych mężów stanu są dzieła treści historycznej.

„Z rezultatów badań historycznych korzysta cała ludzkość, a więc i ludzie, dzieje tworzący — to napewno. Ale pewnem również — i dla mnie o wiele ważniejszem jest to, że prawdziwego historyka, historyka, godnego tego szczytnego miana, historyka z Bożej łaski łączy z prawdziwym mężem stanu coś istotnego niezmiernie, że przez nich obu płynie wielki, głęboki nurt zrozumienia istoty człowieczeństwa w jego wzniesieniach i upadkach, w jego zmaganiach się i trudach, że jeden drogą żmudnych badań, a drugi drogą niezbadanych intuicyj dochodzą do najgłębszej wiedzy, którą jest prawda tego, co było, i prawda tego, co się tworzy, co dopiero będzie. Zarówno ten sądzący jak i ten, co kiedyś będzie sądzony, trzymają ręce na pulsie ludzkości; jeden odtwarza minione jego drgnięcia, drugi wyczuwa tempo drgań przyszłych. Widzę ich, jak odwróceni twarzami w przeciwne strony, podają sobie przecież ręce, a poprzez łańcuch rąk przepływa jeden i ten sam, tak potężny, tak groźny prąd zmagań się o los i przeznaczenie człowieka".

Tak jest, można słusznie kwestjonować starą maksymę: historia est magistra vitae. Zbyt powierzchowne analogje prowadzą często do wielkich błędów. W dziejowym łańcuchu przyczyn i skutków nie tkwi prawo niezmiennego schematu, według którego możnaby przewidywać przyszłość najbliższą i najdalszą. Jeśli nawet na drogach przeznaczeń ludzkich istnieją i działają jakieś prawa niezmienne, umysł człowieka nie dostrzeże nigdy istoty i rozległości tych praw w całej pełni, nie przeniknie z taką dokładnością, by móc osiągnąć zdobycze takie, jak np. w astronomji, która pozwala na ustalenie minuty i sekundy, kiedy nastąpi zaćmienie słońca lub pełnia księżyca. Myśl ludzka nie może opanować wielkiego chaosu życia w jego świadomym i nieświadomym biegu, w jego spokoju i niepokoju, w tem, co wydaje się nam funkcją prawidłową, zjawiskiem normalnem, lub grą żywiołów irracjonalną.

Mylił się Ben-Aliba, kiedy powiedział: „Wszystko to już było". Tworzy się nowa rzeczywistość, która w wielu szczegółach, choćby w formach życia, nie znajduje podobieństwa w przeszłości. Możnaby powiedzieć, że od tysiącleci żyły *wszystkie idee* filozoficzne, moralne i społeczne, lecz przeszłość nie znała wszystkich form realizacji tych odwiecznych idei.

Lecz jeżeli historja nie jest mistrzynią życia, t. j. wszechźródłem wiedzy o przeszłości i teraźniejszości jeśli nie daje wiedzy jasnowidzącej o tem, jak dzień dzisiejszy w całej swej treści i formie wyłania się z dnia wczorajszego, to jednak historja jest wielką i niezastąpioną pomocnicą w naszem dążeniu do zrozumienia rzeczywistości minionej i współczesnej. Nie zna, nie rozumie dnia dzisiejszego ten, kto nie zna przeszłości. Nie ma nic do powiedzenia o świecie teraźniejszym, kto nie ucieka się do pomocy historji. Zarówno badający i tworzący dzieje znajdują w historji nie racje bezapelacyjne, nie rozstrzygnięcia spraw życia zbiorowego, ale światło nauki o wielkich możliwościach społeczno-politycznych, znajdują najgłębsze ostrzeżenia, wielki rejestr mądrości, rozsądku, zasług i zwycięstw oraz — błędów, przewinień, szaleństw i zbrodni.

Posiłkowanie się analogjami historycznemi może prowadzić na manowce, ale również rozświetlać drogi w ciemnym labiryncie dziejów. Nie pomogło to nic Ludwikowi XVI, kiedy w przeddzień wielkiej rewolucji francuskiej zaczął gorączkowo odczytywać dzieło Dawida Hume'a „Historja Anglji", żeby się ustrzec losów króla Karola angielskiego. Nie pomógł mu opis rewolucji i stracenia Karola. Ludwik XVI nie uchwycił zasadniczych *różnic* pomiędzy swojem położeniem a tragedją tamtego króla. Historja bowiem jest nauką *o analogjach i różnicach* pomiędzy teraźniejszością i przeszłością. Tak traktowana, niesie niezastąpioną i twórczą pomoc w rozumieniu i kształtowaniu rzeczywistości świata.

Dlatego to — jak mówił p. premjer Jędrzejewicz— „ulubioną lekturą wybitnych mężów stanu są dzieła treści historycznej". Dodajmy: również ulubioną lekturą każdego myślącego człowieka. Tego, który odczuwa najgłębszą potrzebę wznoszenia się ponad zgiełk i rozgwar dnia, by móc widzieć wielkie sprawy rodzaju ludzkiego *sub speciae aeternitatis.* I który — dzięki własnemu zasobowi wiedzy — przyłącza się do słów Goethego: „Die Weltgeschichte ist das Weltgericht"...

J. Wasowski.



ODGŁOSY

GŁUPI ARGUMENT

Tygodnik *Prawda*, organ przemysłowców łódzkich, (nr. 34-ty) w artykule p. t. „Co to za „instytut"? pisze:

„W ostatnim tygodniu, zdaje się, że wtorek, 15-go ub. m. wielka 50-kilowatowa radjostacja moskiewka, służąca do szerzenia propagandy bolszewickiej w kilku językach europejskich, rozpowszechniała w dłuższym referacie wyciągi z książki, wydanej przez „Instytut Nauk Społecznych" w Warszawie, zawierającej wyniki jakiejś — niewiadomo przez kogo i gdzie przeprowadzonej ankiety o położeniu materjalnem bezrobotnych w Polsce".

A dalej następujący apel do cenzury i policji:

„Niechaj ten „Instytut" nawet nadal uprawia swój proceder dostarczania żeru wrogiej nam agitacji i propagandzie zagranicznej, jeżeli powołane władze nie mają nic przeciw temu, ale niechaj nie nadużywa powagi nauki. Powaga nauki powinna być przez państwo chroniona przed nadużywaniem jej do celów agitacyjnych. Firma *Instytut Nauk Społecznych* daje nieuprzedzonym wszelkie podstawy do mniemania, że jest to rzeczywiście instytucja naukowa, poświęcona objektywnym, wszechstronnym badaniom naukowym. Tymczasem nazwa ta nie ma nic wspólnego z charakterem działalności tej instytucji. Mamy tu więc do czynienia z faktem nadawania sobie fałszywych pozorów, co naszem zdaniem nie powinno być tolerowane. A jeżeli już koniecznie przedsiębiorstwo to chce nazywać się instytutem nauk społecznych, to w takim razie trzeba zmusić ją do tego, aby nazwę tę uzupełniła dodatkiem „do użytku agitacji socjalistycznej i komunistycznej".

Nie słyszeliśmy owego referatu radjostacji moskiewskiej. Jeżeli relacja *Prawdy* jest prawdziwa, to — rzecz jasna — radjostacja moskiewska przytoczyła nieścisłą nazwę owego „tajemniczego" instytutu. Może tu chodzić tylko o broszurę Haliny Krahelskiej i Stefana Prussa p. t. „Życie bezrobotnych. Badania ankietowe". *Prawda* albo nie wie, albo udaje, że nie wie, iż broszura ta została wydana przez ze wszechmiar poważny i odpowiedzialny *Instytut Spraw Społecznych.* Innych badań ankietowych o życiu bezrobotnych w Polsce nie ogłaszano w ciągu ostatnich miesięcy, z tej więc broszury zdawać mogła sprawę radjostacja moskiewska. Dane w tej broszurze zawarte mogły stanowić „żer wrogiej nam agitacji".

W artykule wstępnym niniejszego n-ru *Epoki* piszemy o tej „zdrożnej" pracy Krahelskiej i Prussa, pracy, która odsłania najtragiczniejszy teren naszego społecznego życia, a *przez to samo* ułatwia nam zorjentowanie się w rodzaju i rozmiarach zła oraz w sposobie zwalczania tego zła. Niema głupszego argumentu przeciw odsłanianiu prawdy, niż ten, że w taki sposób dajemy „żer wrogiej agitacji". A to jest argument bardzo popularny i często w wielu sprawach używany.

Więc wypadałoby tak: nie badajmy naszego życia w jego stronach ujemnych, złych, potwornych, nie ujawniajmy żadnej smutnej, niepokojącej, przerażającej prawdy, bo wróg będzie miał „żer". Myśl równie głupia, jak niebezpieczna. Głupia, bo prowadzi do taktyki bezcelowej: wróg może wiedzieć, co się u nas dzieje i bez naszej „pomocy". Niebezpieczna, bo nakłania nas, byśmy nie uprzytamniali społeczeństwu naszej rzeczywistości, trzymali je w nieświadomości i okłamywali samych siebie. I ta właśnie metoda umocniłaby pozycje wroga: słabość polega, między innemi, również na nieświadomości własnego położenia.

Że się ta broszura nie podoba organowi przemysłowców łódzkich, to całkiem zrozumiałe (Halina Krahelska, jako inspektorka pracy, była bardzo... nerwowo zwalczana przez łódzką *Prawdę).* Ale wołanie o policję jest w tym wypadku śmieszne i żałosne.

BEZDROŻA PROSTACTWA

Młody pisarz hitlerowski *Ernst von Salomon*, który uczestniczył w mordzie, popełnionym na osobie Rathenaua, jest autorem niedawno wydanej książki p. t. „Miasto". Książka jest zamaskowaną autobiografją. Dzieje bohatera świadczą, że pęd młodych Niemców ku ruchowi hitlerowskiemu ukształtował się pod wpływem silnych czynników: wojna, depresja moralna i fizyczna, bezrobocie, urażona duma, życie bez perspektyw na przyszłość ułatwiły znakomicie oddziaływanie histerycznej propagandy nazich.

Bohaterem „Miasta" jest agitator - chłop Ive, który buntuje wieśniaków Szlezwigu i Holsztynu przeciw podatkom, rzuca bomby, walczy z policją „republikańską", z komunistami. Psychika jego przeniknięta jest nawskroś nienawiścią. Ive nienawidzi cudzoziemców, socjalistów i żydów; nienawidzi miasta, które nie daje mu pracy, i zmusza do głodowania. „Chłop musi stronić od miasta. Ani jeden kufel piwa, ani jeden guzik nie powinien być kupowany w mieście... Kobieta z miasta nie powinna nigdy zostać żoną wieśniaka... Ani funta masła, sera dla gospodyń miejskich". Ta zaciekła wrogość, której wyrazem są słowa Ive'a, była podatnym gruntem pod siew hitlerowskich haseł, które wykorzystały stosunek ciemnego chłopa do miasta, przedstawiając je jako skupisko „marxistowskich zbirów i żydowskich wywrotowców".

Ive był oczywiście antysemitą. „Niższość" Żydów była dla niego bezspornym faktem. Ich natomiast rola intelektualna, która przejawiała się w dziedzinie literatury i nauki, była dla wyszkolonego już na frazeologji partyjnej Ive'a „smutnem następstwem republikańskiego regime'u".

W oddziale szturmowym Ive styka się z bezrobotnymi, wygłodzonymi, źle odzianymi. Mundur brunatny i dniówkowa płaca partyjna oznaczały dla nich powrót do życia, do godności człowieka, który ma odzienie i jest syty.

Bardzo znamienne są końcowe wywody Ive'a, który dowodzi, że wykształcenie i rozum są niebezpieczną chorobą: „Ludzie inteligentni w ciągu dwunastu lat rozbili i wykoleili państwo, ich pisaniny i gadaniny pogrążyły cały naród w szachrajstwa i intrygi. Lecz gdzież wylądowali, uzbrojeni w swój rozum? W obozie koncentracyjnym lub więzieniu. Rozum jest bowiem zawsze początkiem zdrady".

Jakże wymowny, a zarazem tragiczny i ponury jest ten obraz duchowego i umysłowego wykolejenia młodzieży, wkraczającej w życie pod znakiem swastyki, która stała się symbolem krwawego teroru i najciemniejszego prostactwa!

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

ZWEIG O FREUDZIE

Dzieje pracy naukowej Zygmunta Freuda mogą stanowić przykład wzorowy, przez jakie to odwieczne etapy przechodzi każda nowa teorja, która coś zmienia w nałogach myślowych, narusza jakieś normy ustalone, zagraża przesądom i przeżytkom. W etapie pierwszym wywołuje odpór, gniew i oburzenie, któremu najczęściej towarzyszy insynuacja i oszczerstwo, zwłaszcza wówczas, kiedy myśl czy teorja nowa obraża jakieś tabu obyczajowe. Po wielu latach cierpliwej, uporczywej ,na ataki i przykrości niebacznej pracy uczonego, dorobek jego zaczyna być brany pod uwagę — zrazu niechętnie ostrożnie, podejrzliwie.

Mijają znowu lata jego dociekań, spostrzeżeń, hipotez i twierdzeń, z których niejedno „przyjmuje się" w świecie naukowym, tak jeszcze niedawno odrzucającym wszelką nawet dyskusję ze śmiałkiem, nowatorem i prekursorem. A później — etap trzeci: niejedna myśl, która uważana była za niedorzeczną lub zdrożną, pozbawioną sensu lub wywrotową, staje się prawdą elementarną, truizmem, czemś, co się rozumie samo przez się. Wreszcie— w etapie następnym — rodzi się słuszna i sprawiedliwa ocena pracy i zasługi uczonego.

Przez te wszystkie etapy przeszedł — jak wielu przed nim — Freud. Z doskonałą plastyką demonstruje nam znakomity pisarz, Stefan Zweig*) dzieje pracy Freuda i różnych reakcyj, jakie budziła w ciągu kilkudziesięciu lat. Dziś już naogół nie doceniamy odwagi, jakiej wymagały pierwsze wystąpienia Freuda, zwłaszcza w dziedzinie zagadnień seksualnych, które właśnie stanowiły nietykalne tabu.

Pierwszy referat djagnostyczny na temat psychozy i jej przyczyn, wygłoszony na posiedzeniu „Towarzystwa lekarskiego"... Konsternacja i zakłopotanie: „Wszyscy *privatim* wiedzą o wadze instynktu seksualnego dla konstytucji ogólnej. Ale przynależni duchowo do swej epoki, posłuszni jej moralności, czują się obrażeni za wyprowadzenie tej sprawy na czyste wody, jakgdyby to djagnostyczne wytknięcie palcem już było gestem nieprzyzwoitym. Z zakłopotaniem spoglądają jeden na drugiego — czyżby nie wiedział ten młody docent o niepisanej umowie, że nie mówi się głośno o tych ciemnych sprawach, a już chyba najmniej nadaje się do tego otwarte posiedzenie poważnego „Towarzystwa Lekarskiego". Na temat seksualny — tę cichą konwencję powinien nowicjusz znać i szanować — można porozumiewać się między kolegami filuternem mrugnięciem, można żartować przy taroku, ale któż to wynosi podobne tezy przed forum publiczne — w 19-ym wieku, w wieku tak wysokiej kultury.

„Pierwsze publiczne wystąpienie Zygmunta Freuda podziałało na jego kolegów wydziałowych jak wystrzał z pistoletu w kościele. Życzliwi dają mu do zrozumienia, że lepiejby zrobił ze względu na swą przyszłą karjerę akademicką, gdyby zaniechał dalszych dociekań w dziedzinie tak nieczystej i kłopotliwej". Ale nieustraszony w swej uczciwości naukowej, niezrażony żadnemi przykrościami, idzie dalej swoją drogą i mówi otwarcie o wnioskach, które mu badania nasuwają. Owe „wystrzały z pistoletu" rozlegają się raz po raz. Wnioski i tezy są coraz „zdrożniejsze", naprzykład o seksualnych popędach dziecka, więc o sprawie, która budziła najwięcej protestów bezmyślnych. Wszystkie tezy Freuda,zagadnienia popędów, kompleksów i aktywnej podświadomości, same podwaliny psychoanalizy były w całości odrzucane i ośmieszane. Dziś praca Freuda stała się już trwałym dorobkiem psychologji i psychjatrji. Nad tą pracą żaden poważny uczony nie przechodzi do porządku dziennego, mimo wszystkie znane już poprawki i zastrzeżenia. Stefan Zweig w entuzjastycznej pochwale Freuda, jako uczonego i jako człowieka, nie zapomina dodać: „Pewne przecenianie seksualności dominuje nad jego dziełem i terapją, ale owo silne akcentowanie było spowodowane koniecznością historyczną, było skutkiem niedoceniania i przemilczania tych spraw, praktykowanego systematycznie przez dziesiątki lat. Potrzeba było trochę przesady, aby ułatwić tej myśli podbój epoki. Dopiero po przełamaniu tamy milczenia Freud otworzył usta dyskusjom".

W książce Zweiga znajdujemy najbardziej przystępny wykład całokształtu teorji Freuda, zarazem— szlachetną obronę myśli odważnej.

M. Czarnowski

*) *Stefan Zweig:* Freud. Przekład Melanji Wasermanówny. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1933 r.

ARKADJA W OBOZIE WAROWNYM

Niemal jednocześnie ukazały się w przekładzie polskim dwie prace, dotyczące współczesnych stosunków włoskich. Jedna zajmuje się doktryną i filozofją faszyzmu*), druga opisuje dzieje jego rozwoju**). Pierwszą napisał Giovanni Gentile, czołowy ideolog faszyzmu, minister oświaty, reformator szkolnictwa włoskiego, luminarz, który nietyle może niósł wysoko kaganiec oświaty, ile kaganiec na wolność oświaty.

Drugą zaś napisał Gioacchino Volpe, jeden z wybitniejszych i głębszych teoretyków faszyzmu, który usiłuje ze stanowiska możliwie przedmiotowego oświetlić genezę i rolę twórczą ruchu faszystowskiego. Książka Gentilego nie jest niebezpieczna dla przeciwników faszyzmu: przez swój wykład ciężki i mocno zawiły, utrzymany przytem w tonie patetycznym, przez swe mętne tyrady, mające podnieść wzniosłość faszyzmu i głębię jego filozofji — stanowi w rezultacie mocno niezręczną apologję wodza i całego kierunku. Nadto straszliwy przekład, najeżony błędami językowemi i wprost bezprzykładnie pogardzający porządkiem znaków pisarskich — utrudnia nietylko wykrywanie myśli przewodniej wykładu, ale zaciemnia wprost znaczenie i sens stanowisk myślowych i niektórych wywodów autora.

(Rzecz szczególna, iż przekład drugiej książki, zrobiony przez tę samą tłumaczkę jest zgoła inny i poprawny, wprost jakby nie tą samą ręką dokonany).

Z książki Gentilego godziłoby się żywcem wyjmować wzory łamigłówek myślowych i językowych, w celu wspólnego i zbiorowego ich rozwiązywania. Godzi się np. przytoczyć okres, składający się z dziewięćdziesięciu wyrazów: „Faszyzm w rzeczywistości przejął od syndykalizmu ideę funkcji wychowawczej i moralizatorskiej syndykatów, ale funkcja ta, będąc zmuszona przekroczyć poza antytezy Państwa i syn-

*) *Giovanni Gentile:* Źródła i doktryna faszyzmu. Warszawa, 1933. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

**) *Gioacchino Volpe:* Rozwój historyczny faszyzmu. Warszawa, 1933. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

dykatu, winna była usiłować nadać syndykatom, łączącym się zgodnie w korporacje system, aby mogły poddać się dyscyplinie państwowej i wyłonić stąd z siebie organizm Państwa, które będąc zmuszone doścignąć indywiduum, aby wyrazić w niem swoją wolę, nie poszukuje go, jako to abstrakcyjne i polityczne indywiduum, które stary liberalizm, uważał jako obojętny atom; ale poszukuje go takiem, jakiem go może znaleźć, jakiem ono jest w rzeczywistości, jako produktywną, wyspecjalizowaną siłę". (str.52).

Otóż w tym zawiłym fragmencie, stanowiącym nb. trzecią część całego rozdziału XIV, autor usiłuje dowieść, że struktura państwa faszystowskiego powstała na gruzach porządku liberalnego i mocno dziś oparta została na podstawach syndykalistycznych.

Przez to samo Giovanni Gentile powiedzieć pragnie, że korporacyjna zasada państwa faszystowskiego jest zasadą ludową, a nawet, jak twierdzi autor w innem miejscu „par exellence demokratyczną". (str. 50) — w odróżnieniu od państwa nacjonalistycznego, będącego „arystokratycznem, które miało potrzebę budowania się w sile, czerpanej z własnego źródła dla zwaloryzowania siebie w masie" (str. 50).

Jako korona zaś pojęciowej konstrukcji państwa faszystowskiego występuje twierdzenie Gentilego, że państwo to jest kreacją całkowicie duchową, że „ukształtowanie państwa jest ukształtowaniem świadomości jednostek czyli masy, w której potencji spoczywa jego potencja. Stąd powstaje potrzeba Partji i wszystkich instytucyj propagandowych i wychowawczych według politycznych i moralnych ideałów faszyzmu, które faszyzm urzeczywistnia dla osiągnięcia, aby myśl i wola jednego, a jest nim Duce, stała się i wolą masy".

Pozatem Giovanni Gentile twierdzi, że doktryna faszystowska nie jest filozofją w zwykłem znaczeniu tego wyrazu, nie jest tembardziej wyznaniem wiary i że trzeba mierzyć faszyzm według „specjalnych tez, które przyjmuje teoretycznie i praktycznie", zaś i system faszystowski „nie jest systemem, ale ma w polityce i w interesie politycznym swój centr ciężkości" (str. 44). Zastrzega się jednak G. Gentile, że wprawdzie faszyzm „nie jest systemem lub doktryną", ale nie powinien czytelnik myśleć, że „jest abstrakcyjną tendencją albo ślepą praxix nie zdefinjowaną, instynktowną metodą" (str. 42).

Z tego całego bełkotu patetycznego przebija to jedno, zdaje się, że odraza faszyzmu do abstrakcji, teorji, intelektualizmu płynie wyłącznie z surowych zasad logiki rozwoju, tworzenia i budowania, którą, rzecz prosta, uosabia Mussolini. Stąd powinno wynikać, że faszyzm stanowi raczej życiową metodę postępowania, niż oderwany system teoretyczny.

Jakkolwiekbądź, wydawca przez wypuszczenie w świat tej książki złożył dowody heroizmu i ofiarności, niemniej jednak dokonał czynu patrjotycznego, gdyż polscy faszyści, którzy zgłębiać będą taką interpretację doktryny faszystowskiej albo otrzeźwieją zupełnie, albo skołowacieją do reszty.

Natomiast Gioacchino Volpe w sposób jasny i przejrzysty kreśli dzieje faszyzmu, oświetla naprzód stosunki włoskie w przededniu wojny światowej, stan umysłów w ówczesnem środowisku politycznem, dalej zaś obrazuje rozwój i stopnie natężenia walk społecznych we Włoszech już po zwycięstwie koalicji, wzrost zamętu wewnętrznego, podsycanego przez niemoc rządu i agnostyczną postawę państwa wobec zadań, wynikających z chaosu i rozkładu władztwa. G. Volpe ustala i objaśnia przyczyny, które uwarunkowały powstanie faszyzmu i zwróciły go w kierunku tworzenia autorytatywnego państwa, które przeciąć miało ślepą grę żywiołów społecznych. Posiłkując się metodą badania historycznego, G. Volpe próbuje wyprowadzić genezę faszyzmu z ducha Risorgimenta włoskiego, z bohaterstwa walk o wyzwolenie i zjednoczenie Italji. Ustalić pragnie powinowactwo faszyzmu z romantycznemi porywami Mazziniego i Garibaldiego i z rozumem stanu Cavoura.

Czyni wreszcie autor przegląd dość szczegółowy wszystkich zdobyczy ostatniej doby, osiągniętych przez faszyzm na wszystkich polach życia włoskiego i wykazuje dobrodziejstwa rządów Mussoliniego.

Przyznać trzeba, że książka pisana jest z żarem przekonania, z wiarą w posłannictwo faszyzmu i pod działaniem siły sugestywnej dyktatora. Jednakże G. Volpe w żadnym punkcie nie zdołał podważyć prawdy, że faszyzm jest jedną z odmian nowożytnego despotyzmu i że cały system rządzenia oparty jest na apologji siły i na przemocy fizycznej. Współczesna Arkadja włoska nie przestaje być obozem warownym, w którym obowiązuje stan oblężenia, zaś życie całe reguluje się na podstawie praw wyjątkowych. Wolno przypuszczać, że jestto Eldorado, ale tylko dla faszystów, tylko dla apologetów Mussoliniego. Trudno jednak mówić o wolności duchowej skutego człowieka w Italji współczesnej, a to bujne życie, które w tak pięknych barwach malują nam urzędnicy faszyzmu, jest albo urojeniem, albo poprostu nieprawdą.

Henryk Lukrec

PRZYCZYNKI DO SPRAWY REFORMY OBYCZAJÓW

PORADNIE

Nowe warunki życia tworzą samorzutnie nowe nieznane dawniej wymagania.

Był czas, gdy powszechnie głoszono hasło licznego rozmnażania się. Jaknajwiększa ilość potomstwa była dobrze spełnionym obowiązkiem w stosunku do własnej rodziny, społeczeństwa i państwa.

Bezbrzeżne, niezaludnione obszary, przepastne puszcze, nagie stepy, rozlewne mokradła wołały o żywego człowieka; ziemia domagała się zgrzytu siekiery, stuku rydla i dudnienia pługa. Zrzadka rozrzucone osady skupiały koło siebie zwykle jedną wielką rodzinę, której rozrost był ambicją rodową. Nowonarodzony potomek przynosił ze sobą na świat nowe ręce do pracy, a tej było wiele. Prawo przykucia chłopa do ziemi, której bezkarnie opuścić nie mógł, regulowało nagły ubytek potrzebnych sił roboczych.

Państwo, na którego usługach stały prawa świeckie i kościelne, broniło swej liczebności, gdyż to zabezpieczało im potęgę i siłę, nagłe bowiem epidemje, zarazy morowe, oraz wielka śmiertelność, wywoływane fatalnemi stosunkami higjenicznemi oraz niskim poziomem medycyny, dziesiątkowały ludność, a czasem wprost wyludniały całe obszary, miasta i wsi.

„Tempora mutantur", a wślad za tem poszła zmiana naszych przekonań i zapotrzebowań życiowych.

Żyjemy w ciężkich czasach ogólnego zubożenia, oraz przeobrażeń całego systemu gospodarczego. Z pomocą życiu ludzkiemu stanęła higjena, medycyna, wynalazki i wreszcie — maszyny.

Istnieją wprawdzie teorje, udawadniające, że mądra „natura" tworzy tyle ludzi, ile utrzymać i wyżywić może, ale teorje te operują zgoła fantastycznemi przesłankami, pomijając też coraz potężniejszą rolę maszyny, która unicestwia rzekomą równowagę między przyrostem ludności, a zapotrzebowaniem pracy.

Ogólny kryzys opanował nasze życie gospodarcze, wdarł się też do życia rodzinnego.

Wślad za kryzysem sunie smutna fala bezrobocia. Ci, co pracują jeszcze, heroicznych wysiłków dokonywują, by związać koniec z końcem. Urzędnik, któremu państwo musi uszczuplić pobory, przemysłowiec, pozbawiany licznej klijenteli, wieśniak, żywiący rodzinę z kilku morgów ziemi, a nadewszystko bezrobotny, nie może myśleć o licznej rodzinie. Płacz nowonarodzonego obywatela, jest witany jako „signum temporis", — o losach maleństwa, śpiącego w lichej kołysce, ze smutkiem myślą stroskani rodzice.

Ratując ciężką sytuację rodziny, stanęła do walki o byt kobieta, nie pogardzając żadną pracą. Jako robotnica tańsza, przyjmuje wszelkie zajęcia w urzędzie, biurze, kantorze, sklepie. Obowiązki bony i matki utrudniają pracę zarobkową, częsta ciąża i porody pozbawia ją zarobku, bez którego wyżyć nie może. Wtedy rodzina pogrąża się w głód i nędzę. Czyż w tych warunkach powinna dawać życie nowemu pokoleniu, nie mogąc dzieciom zapewnić utrzymania i wychowania? Jaki produkt ludzki dostarcza społeczeństwu? Dzieci, wzrastające w warunkach nędzy i głodu, nie przysparzają sił społeczeństwu i państwu. Wprost przeciwnie — osłabiają organizm społeczny. Osłabiają fizycznie i moralnie.

Niepożądana ciąża pcha kobietę w szpony niefachowych wyzyskiwaczy, ściąga na nią niebezpieczeństwo życia i odpowiedzialności prawnej, niszczy zdrowie fizyczne, oraz podkopuje etykę i moralność wrodzoną człowiekowi. Sumienia wrażliwych kobiet, narażonych na konflikty z prawem i ze sobą, cierpią często, ale cóż? — warunki życia dyktują swoje żądania.

Dla ulżenia niedoli ludzkiej, dla walki z plagą poronień i najcięższych chorób z nią związanych, celem usunięcia fizycznego i moralnego cherlactwa, jakie reprezentują dzieci, wzrastające w nędzy oraz w imię uzdrowienia i wzmocnienia organizmu społecznego, powstają w naszym kraju „poradnie świadomego macierzyństwa". W Warszawie, Łodzi, Krakowie, Katowicach, Baranowiczach, w miastach większych i mniejszych zakładane są Poradnie, zatwierdzane przez władze, na podstawie odpowiedniego statutu „Poradni Świadomego Macierzyństwa", lokują się w najuboższych dzielnicach miast, przedmieść i ośrodków fabrycznych. W skromnych lokalach fachowe siły udzielają zgłaszającym się kobietom porad o najnowszych środkach profilaktycznych i antykoncepcyjnych. W lokalach „Poradni Świad. Macierz." leczy się też choroby kobiece. Obowiązuje tu zasada: „Tu się ciąży nie przerywa, ale się jej zapobiega".

Dzięki tym humanitarnym instytucjom, można mieć nadzieję, że zniknie wreszcie obawa zakażeń, poronień i ciężkich chorób kobiecych, kobieta wyrwie się z pęt nadużyć i niefachowych zabiegów, zapewni się jej zdrowie i uwolni od konfliktów prawnych i moralnych.

Mikołaj Mironowicz

NA TERENIE SZKOŁY

Artykuł p. Michałowskiego w Nr. 33 „Epoki" p. t. „Filmy niedozwolone" nasuwa różne refleksje na temat zdrowia moralnego młodzieży. Przyszły mi na myśl te niedawne czasy, gdy byłam uczenicą.

Nasi nauczyciele i wychowawcy chcieli, byśmy wyszły ze szkoły „przygotowane do życia", zdrowe fizycznie i moralnie. Zamiary więc były szlachetne, lecz jakie metody wiodły do ich zrealizowania? Starano się o to, byśmy nie wiedziały o wszelkich „brudach" życiowych, byśmy nie mówiły o „gorszących" sprawach. Dlatego może, gdy na zebraniach naszego samorządu zaczynałyśmy np. dyskusję na temat stosunku mężczyzny do kobiety, wychowawczyni robiła wszelkie możliwe wysiłki, byśmy zaczęły mówić o czemś innem, a pozatem prosiła, by przebiegu tej dyskusji nie protokułować. Na sali rekreacyjnej zamieszczano kartkę, na której widniał wykaz filmów „dozwolonych". Na lekcjach higjeny, gdy koleżanka zapytała raz o coś, co ma związek z życiem płciowem kobiety — nauczycielka-lekarka (!) ...zarumieniła się i nie dała odpowiedzi.

Dlaczego sprawy najbardziej naturalne okrywa się płaszczykiem pruderji? Dlaczego zmusza się nas do życia w atmosferze nienormalnej, podsycanej chęcią odkrycia jakiejś nadzwyczajnej, tajemniczej prawdy?

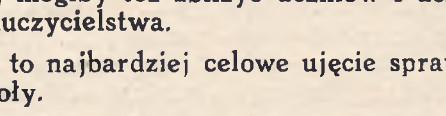
W domu robi się również tajemnicę ze spraw seksualnych, a skutki takiego postępowania się niekiedy b. niewesołe. Miałam wiele koleżanek, wiem, jak wygląda życie młodzieży pod tym względem.

Jeśli brak uświadomienia seksualnego nazwiemy „zdrowiem moralnem", to nie zgodzi się z tem określeniem całe dzisiejsze młode pokolenie.

Należy się zastanowić nad tem, w jaki sposób prowadzić akcję uświadamiającą. W szkołach średnich jest na to miejsce na lekcjach higjeny w kl. 7-ej. Kto ma prowadzić te lekcje, które powinny mieć charakter przyjacielskich rozmów? Musieliby to być ludzie wybitnie inteligentni, rozumiejący młodzież, umiejący się do niej zbliżyć. Powinni ukończyć specjalne kursy.

W ten sposób miałoby się pewność, że te odpowiedzialne stanowiska zostaną zajęte przez ludzi prawdziwie inteligentnych, poważnych i kochających młodzież. Nauczyciel tego typu stałby się prawdziwym wychowawcą młodzieży. Mógłby rozmawiać na różne tematy, niezwiązane nawet z lekcją, ale za to z życiem; mógłby też zbliżyć uczniów i uczenice do reszty nauczycielstwa.

Byłoby to najbardziej celowe ujęcie sprawy na terenie szkoły. *A. K.*



W WARSZTACIE WSRÒD CHMUR

Kwestja pogody ma dla wybierającego się na wycieczkę górską wyjątkowe znaczenie.

Profesor Banachiewicz patrzył z nieufnością na rozległe zwały chmur, przesuwające się prędko na tle nieboskłonu. Dnie poprzednie obfitowały w opady atmosferyczne. Ostatecznie można było się spodziewać, że zapasy wód niebieskich wreszcie się wyczerpały i słoneczna pogoda będzie łaskawie protegowała naszą wycieczkę do najwyższego warsztatu pracy w Polsce, do obserwatorjum astronomicznego na szczycie Lubomiru, zwanego też popularnie Łysiną, w zachodnich Beskidach. Wiadomości, jakie otrzymaliśmy z gór, nie były zachęcające. Potoki górskie wezbrały znacznie i zalały drogi i dróżki, prowadzące na szczyt Lubomiru, a wielkie chwilami zachmurzenie mogło być zwiastunem ponownych ulewnych deszczów.

Wszelako mimo niepewnych widoków postanowiliśmy wyruszyć w drogę. Wycieczkę organizuje i kieruje nią profesor dr. Tadeusz Banachiewicz, dyrektor obserwatorjum krakowskiego, świetny polski uczony, który szeregiem doniosłych prac naukowych zdobył sobie sławę światową i znany jest jako jeden z najwybitniejszych astronomów naszego stulecia. W czasie wycieczki mogłem się przekonać, że profesor Banachiewicz jest nietylko wielkim uczonym, lecz również przewidującym wszelkie najdrobniejsze szczegóły organizatorem. Prócz profesora i mnie, trzy osoby jeszcze wchodzą w skład naszej wycieczki: znany polski odkrywca komet, profesor Wilk, młody inżynier-astronom oraz student, gość z Łotwy, który wesołem swem usposobieniem często wprowadzał pierwiastek beztroskiego humoru w tok naszych rozmów.

Szczyt Lubomiru o wysokości 912 metrów znajduje się w odległości 33 kilometrów od Krakowa w linji powietrznej. Do obserwatorjum można dostać się różnemi trasami. Można jechać koleją, która dużym łukiem okrąża Beskid Myślenicki, wysiąść na stacji Kasina Wielka, a następnie iść pieszo do szczytu, oddalonego od stacji o blisko 10 kilometrów, co zajmuje przynajmniej trzy godziny. Prędzej dochodzi się do celu, jadąc mniej więcej dwie godziny samochodem przez Wieliczkę, Dobczyce prawie że do stóp góry, a następnie idąc pieszo 3—4 kilometry, zależnie od obranej drogi krótszej lecz stromej, albo dłuższej, lecz mniej uciążliwej.

Profesor obrał drugą trasę wycieczki. W południe około pierwszej wyruszamy w drogę. Jesteśmy świetnie przygotowani do wycieczki górskiej. Po niebie przeciągają wprawdzie chmury, wszystko przemawia jednak za tem, że będziemy mieli dobrą pogodę.

Opuszczamy Kraków. Samochód mknie po nierównej szosie w kierunku gór. Droga chwilami wznosi się, to znów opada, naogół jednak coraz bardziej oddalamy się od poziomu morza. Mijamy schludne domki Wieliczki i w miarę oddalania się od Krakowa coraz częściej spotykamy typowe góralskie chaty.

Po dwugodzinnej jeździe samochód staje na rozdrożach. Tu już musimy zrezygnować z pomocy kilkudziesięciu koni automobilowych. Trzeba wprowadzić w ruch własne motory nożne i pieszo przebyć ostatni etap podróży. Niebardzo się spieszymy. Postanowiliśmy wracać dopiero nocą, by ze szczytu Lubomiru oglądać jeszcze usiane gwiazdami niebo. Czekają nas przepiękne wrażenia. Droga prowadzi wzdłuż szumiącego potoku górskiego, wśród lasów iglastych, cieniem swem łagodzących żar lipcowego dnia. Idziemy dłuższą, lecz za to wygodną drogą, prowadzącą poprzez dużą polanę, znajdującą się już niedaleko grzbietu górskiego.

Słońce zbliżało się już do linji widnokręgu, kiedy wśród drzew wyłonił się jasny otwór małej polanki, na której stoi samotna pracownia astronoma.

Nie po raz pierwszy znalazłem się na szczycie Łysiny. Byłem tam już w maju roku 1925-go, w kilka dni po historycznej chwili odkrycia pierwszej przez Polaka komety. Uboga stacja astronomiczna na Łysinie promieniowała wtedy sławę polskiej nauki na cały świat i była przez szereg tygodni ogniskiem zainteresowań i podziwu polskiego społeczeństwa. Pan Orkisz, odkrywca i ówczesny władca Lubomiru, znajdował się wtedy w Krakowie. W obserwatorjum zastałem tylko młodego górala, przydzielonego astronomowi do pomocy.

Zmienił się wyraźnie sam domek mieszkalny. W roku 1925-ym był to mały domek myśliwski. W tym roku zaciszne miejsce pobytu astronoma przedstawia się nieco obszerniej. Jeden pokoik został dobudowany i na pięterku przybyła jeszcze mała izdebka. Obecnym astronomem na Łysinie jest dr. Mergentaler. Niestety, podobnie jak przed ośmiu laty zbieg okoliczności znów sprawił, że nie zastałem młodego i zasłużonego już astronoma w jego warsztacie pracy. Był to bowiem dzień, kiedy dr. Mergentaler mówił przez Radjo Krakowskie o „Groźbie komet".

Zanim udaliśmy się do domu mieszkalnego, obejrzeliśmy pod kierownictwem profesora Banachiewicza całe obserwatorjum. Ubogo, bardzo ubogo przedstawia się instrumentarjum. Właściwie prócz chronometrów, czyli bardzo dokładnych zegarów astronomicznych oraz radjoodbiornika, niezbędnego dla odbioru sygnałów czasu, głównemi narzędziami pracy są dwie lunety, umieszczone w małym pawiloniku drewnianym. Młody góral otworzył na polecenie profesora pawilon i odsłonił dach. Pawilon nie ma kopuły, zakrywa go zwyczajny pochyły, otwieralny, dwustronny dach. Ze względu na małe rozmiary lunet praca astronoma ograniczyć się musi do takiego programu naukowego, który mimo skromnych środków może być z sukcesem wypełniony.

Jako główną treść badań astronoma na Łysinie wymienić należy obserwacje gwiazd zmiennych. Gwiaździarze znają szereg niezmiernie ciekawych ciał niebieskich, które bądź to nieregularnie, bądź regularnie, wedle stale powtarzającego się schematu, zmieniają swoją jasność. Właściwie dopiero od kilkudziesięciu lat uczeni badają systematycznie te niezmiernie ciekawe gwiazdy. Dlatego powody dziwnego wahania promieniowania znane nam są tylko w odniesieniu do bardziej nielicznej grupy tych ciał niebieskich. Dla uczonych otwiera się więc tutaj ogromne pole do pracy i badań. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że właśnie gwiazdy zmienne odgrywać będą decydującą rolę w krystalizującej się obecnie nowej teorji powstawania i życia układów

gwiezdnych. Prace i materjały obserwacyjne, pochodzące z warsztatu naukowego na Lubomirze, mogą więc być bardzo cenne dla postępu astronomji i astrofizyki.

Poza obserwacjami gwiazd zmiennych program prac obejmuje również obserwacje zakryć gwiazd przez tarczę księżyca oraz systematyczne poszukiwania komet. Wreszcie wspomnieć należy, że obserwatorjum zaopatrzone jest w instrumentarjum meteorologiczne, wobec czego codziennie trzykrotnie dokonywa się pomiarów temperatury, wilgotności powietrza, kierunku i siły wiatru, oraz innych ściśle meteorologicznych obserwacyj.

W swoim czasie rozważano również projekt wykonywania pomiarów natężenia promieniowania kosmicznego, owego niesłychanie przenikliwego promieniowania, dla badania którego, jak wiadomo, dwukrotnie Piccard wzniósł się do regjonów stratosfery. Chwilowo jednak projekt ten nie został zrealizowany. Bardziej realne kształty przyjmuje zamiar wykonywania pomiarów siły ciężkości na szczycie Lubomiru. Profesor Banachiewicz, po inspekcji obserwatorjum, badał właśnie bliżej warunki zrealizowania tego projektu oraz zastanawiał się nad tem, w jakiem miejscu ma zostać wykopana i wybudowana odpowiednia piwnica.

W czasie, kiedy profesor konferował jeszcze w sprawie owej budowy z inżynierem, słońce skryło się za północno-zachodnią krawędzią ziemi. Widnokrąg, uwieńczony zwałami podłużnych chmur, zapłonął pożogą purpurowych i żółtawych barw. Mały pawilon astronomiczny żarzył się, obleczony szatą czerwonych refleksów. Na wschodzie wyrastał ciemnogranatowy mur nocy. Stronę południową horyzontu zamykały niewyraźne, ciemne sylwety szczytów tatrzańskich.

Przezroczystość powietrza nie była tego dnia wielka. Większa część nieba zajęta była chmurami. Tylko jaśniejsze gwiazdy, jak Jowisz, Mars i Spika światłem swem przebijały zasłony mgieł. Na północnym zachodzie, poniżej wielobarwnych pasm zmierzchu, roziskrzyły się światełka Krakowa. Nieme promienie przynosiły na szczyt Lubomiru wieści o życiu, tętniącem mocnym pulsem wzdłuż arteryj wielkiego miasta. Gwar codziennej, wyczerpującej walki o byt, zespalającej, a równocześnie rozdzielającej ludzką gromadę, nie dochodziły do tysiącmetrowego wzniesienia Łysiny. Tu na górze panuje cisza; tylko szum lasu, niby rytmiczny oddech wielkiego organizmu ziemi towarzyszy nocnej pracy współczesnego samotnika-uczonego.

(d. n.) *Dr. Feliks Burdecki*

MAŁŻEŃSTWO WERONIKI

Lat 35, długi nos, niewiele zębów, wzrost potężny, bary jak u chłopa, piersi olbrzymie, chwiejące się jak dzwony — to była Weronika. Zręcznie i cicho manewrowała swojem wielkiem ciałem i tylko gdy szła, huczała podłoga i drżały cieniutko kieliszki w kredensie. Odmierzała zdania ze spokojem i dystynkcją, a najbardziej nawet drastyczne słowa nabierały w jej ustach klasycznego umiaru. Jeżeli nawet posiadała słownik bardziej wymowny od wielu moich znajomych, to gesty jej ani ton głosu nigdy nie były trywialne. Lubiła się zwierzać, ale nie doprowadzała do nadmiernej poufałości, nie była gadatliwa, umiała powiedzieć krótko i dokładnie to co najważniejsze. Jej oszczędne zdania miały dużą plastykę. Zwierzała mi się zazwyczaj podczas sprzątania, co jej pozwalało przerwać w momencie, który uważała za stosowny. Pragnęła wyjść zamąż.

— Co to jest, proszę pani, dawniej to chciałam wyjść zamąż, żeby się ludzie ze mnie nie śmieli, a chłop to me wcale nie był potrzebny. A tera czuje, że mi chłopa trzeba, sama to już czuje, może od roku. A najwięcej to w nocy.

— A podoba się kto Weronice?

— E, mnie to się każdy chłop podoba. Ale dawni to wolałam panienką pozostać, jak za byle kogo iść. Miał mnie mąż bić, to wolałam na cudzem robić. Miał mną poniewierać, to niedoczekanie jego. Takie miałam zdanie, że mąż musi porzonny być, żone szanować i każdy grosz do domu przynieść. A jakby mnie miał bić i pieniądze tracić, to naco ja mu miałam wolność swoje zaprzedawać?

— A teraz?

— Teraz, to mi mego panieństwa wstyd. Niech mnie potem rzuci, ale mężatką to ja się muszę nazwać. A jak nie rzuci, to też dobrze, bo już czuję chęć. Tylko tego bicia to się trochę boję.

— Czego się ma Weronika bicia bać, przecież Weronika silniejsza od niejednego mężczyzny. On raz, Weronika jego dziesięć!

— Ale, proszę pani, co taka kobieta warta, co swego męża bije.

— No, ale jak on zaczyna.

— Jego jest prawo. Ale taka kobieta, to się tylko na śmiech obnosi.

Poczułam, że powiedziałam niewłaściwość.

Co pewien czas trafiał się Weronce kawaler, z którym się ściskała na schodach: („bo ja bele kogo do kuchni nie wpuszczam"). Nazywała go chichocząc „narzeczony" i za każdym razem snuła plany małżeńskie. Ale narzeczony znikał po krótkim czasie. Jeden tylko się upił i przyszedł pode drzwi z awanturą:

— Ty szlajo jedna, wrzeszczał zachryple i walił nogami w drzwi, to ja na ciebie pieniądze będę tracił, do kinów cię prowadził, a tyś mi nie dała i jeszcze ode drzwi odpędzasz. Teraz to „idź precz pijaku", a przedtem to „panie Antoś" i forsę ciągła...

Z tego przemówienia dowiedziałam się, że Weronika choć nie bezinteresowna, surowych była obyczajów.

Pewnego dnia szepnęła mi tajemniczo:

— Pani pozwoli mi wyjść, bo mam randke z urzędnikiem.

— Z jakim urzędnikiem?

— Z takiem jednem. On tu dzwonił, ale pyta czy to numer 245-30, więc widzę, że omyłka i zaraz mu powiedam: „A jak nie ten numer, to co?". To on na to: „A panienka co za jedna?". Więc ja mu na to, że sublokatorka. A on: „To może pójdziem do kina". Dlaczego nie, owszem. A on: „Ale czy panienka nie jaka służąca, bo ja jestem urzędnikiem". To ja mu powiadam: „Przecie mówię, że sublokatorka". To już mi pani wyjść pozwoli.

Ale wróciła bardzo rychło markotna.

— Nie podobał się Weronce?

— Nie to, żeby się nie podobał. Ja tam nie żadna pani, żeby mi się miał kto nie podobać. Ale to chamisko takie. Spotkali my się na przystanku, ja miałam te róże aksamitne przy boku. Nie, owszem, podobać, to mi się podobał, w binoklach, na pana wyglądał. Powieda do mnie: „Pojedziem na Chłodne". Ja mówie, że do Światowida bliżej, a on, że zawsze chodzi na Chłodne. Siedli my do taksówki, a on jak się nie zacznie zabierać! A ja to, proszę pani, czemu nie, pocałować się z chłopem mogie, i jak na spacer ide, zawsze świeży biusthalter kłade. Ale, żeby zaraz łapę pod kieck.... pod sukienkie — poprawiła się wytwornie. — „Co to, to nie", powiedam, „to pan taki inteligent?" A on na to: „A pocoś panna do taksówki wsiadła?" „A ja mu na to: „Przestań pan, bo bez łeb dostaniesz". To taksówke zatrzymał i mnie wysiąść kazał, a sam dalej pojechał. A taki cham, to nie myśli, że tą pazurą tyż może krzywdę zrobić.

Aż wreszcie poznała Weronika miłość. Pewnego dnia powiedziała mi ponuro:

— Tera jednego Wacława mam. Z ulicy Przyokopowej. Ale on z Kresów rodem. Szewc mi nastręczył. Ale za tego to ja już się wydam, proszę pani.

— Kto to jest? Czy go Weronika zna? Czy to porządny człowiek?

— Porzonny, nie porzonny, kto go tam wie. Ale mnie się on podoba.

— Przecież Weronice każdy się podoba.

— A ten więcej, jak inne. Tak mnie do niego, aż trzęsie. Takie miłe mowe ma.

— A on chce się żenić?

— E, niebardzo. Powiada, że mu do żony nie spieszno. Że babów nie lubi i że mu jedne młynarzówne swatali, to nie chciał.

— To dlaczego Weronika mówi, że się za niego wyda?

— Bo on już mnie sądzony. Jakem na niego spojrzała, to już od razu poznałam, że on dla mnie. Równo ze mną wzrostem. Nawet będzie trochę wyższy.

— Młody?

— Nie, młody, to on już nie będzie. Ze trzydzieści lat.

— To przecież młodszy od Weroniki.

— Młodszemu od starej to być nie trudno. Szewc powiada: „Niech się panna Weroncia nic nie boi, już ja panne Weroncie za niego wyswatam, tylko forsę trzeba szykować."

Upłynęło parę tygodni. Weronika weszła solenna do mego pokoju.

— Pani pozwoli Wacusiowi do kuchni przychodzić. My już w te niedziele na zapowiedzie damy.

— Co Weronika mówi? Więc on jednak chce się żenić?

— Powiedział, że jak mu taksówkę kupię, to się ze mną ożeni. Taksówke można mieć za tysiąc złotych, więc ja mu mówie, że mam trzy tysiące, to on mówi, że dobrze.

— A ile Weronika ma naprawdę?

— Tysiąc złotych. Na taksówkę starczy.

— Będą nieprzyjemności, jak się dowie, że Weronka skłamała.

— A kiedy ja te pieniądze mieć będę, proszę pani. Od siostry Oli pożyczę tysiąc złotych, oni bogate, to mi dadzą. Od Józki wezme 100, od Gieńki 200, a po ślubie, to mnie przecie nie zabije, jak będzie brak 700.

— Ale te pożyczone pieniądze trzeba będzie oddać.

— To już jego niech o to głowa boli. Praniem też coś zarobię i spłacę.

— Kiedy Weronika praniem zarobi 1.300 zł.?

— Bele się ożenił, a potem będziem patrzeć.

Porzuciłam daremne perswazje. Dano na zapowiedzi, narzeczony przychodził i jadł kotlety, ale o ślubie nie było słychać. Potem wyjechał na kresy, do rodzinnego miasteczka.

Weronika chudła i czerniała z każdym dniem. „On się musiał, choroba, dowiedzieć, że ja tych pieniędzy nie mam". Ale wkrótce przyszedł list, tak suto zaprawny poezją, że Weronika przytyła w ciągu jednego dnia.

„Droga moja Werońciu, „pisało" w liście, serce moje wyrywa się za tobą. Już czekam tej chwili, kiedy ja cię swoją żoneczką nazwę. Moje serce cię przyzywa, i nawet w nocy to ja o tobie myślę. I przyślij mi, kochana Werońcu 100 zł., bo mi tu ubranie skradli."

Następny list był jeszcze czulszy:

„...już ja niedługo twoje piękne oczy zobaczę. Ale przyślij mi Werońciu jeszcze sto złotych, jeżeli mnie chcesz przy sobie żywego zobaczyć, bo mi na te powrotną drogę zbrakło."

Narzeczony przyjechał po paru miesiącach i znów zaczął przychodzić do kuchni, ale nie sam, tylko z kolegą.

— Dla niego kolega przedewszystkiem, tłomaczyła mi Weronika. Ktoby się jego kolegi tknął, to życiem przypłaci.

Kiedyś usłyszałam z kuchni urywek rozmowy. Przy stole siedziała Weronika z Geńką i narzeczony z kolegą.

— Werońcia, mówił „Wacuś" rosyjskim akcentem, starowata i brzydka, to co ja się z Weroncią będę żenić?

W odpowiedzi rozległ się frenetyczny chichot Weroniki.

— Żeby ja był pewny, że Werońcia te trzy tysiące ma, to jaby się może i ożenił.

— To ty mi, cholero, nie wierzysz, pisnęła Weronika, to ty mi kłamstwo przy ludziach zadajesz?

— A ot, żeby Werońcia przy świadkach pokazała, to jaby pewność miał.

— Ja tobie przy świadkach pokaże. Ja tobie g.... pokaże.

— A, jak tu nam mają g.... pokazywać, to chodź Józiek, to my stąd pójdziem.

— A idź na stracenie, draniu, żeby o tobie słychu nie było.

— Nu i idziem.

Drzwi trzasnęły. Poszli.

Ta dramatyczna rozmowa nie przerwała jednak stosunków, narzeczony dalej przychodził do kuchni. Weronika czyniła gorączkowe przygotowania do ślubu. Sprawiła sobie suknię ze sztucznego jedwabiu, zakupiła mnóstwo wódek.

— Poco Weronika to robi, przecież może jeszcze nic z tego wesela nie będzie.

— Dobrze będzie, prosze pani. Raz się człowiek w życiu żeni, trzeba się zawczasu przygotować.

Ale trzęsła się wciąż ze zdenerwowania, schła „w sobie", cała była „w promieniach".

— Co to jest, proszę pani, narzekała, że on mnie nigdy nie pocałuje. Co to za narzeczony taki? Ja mu mówie: „Pocałuj me", a on na to: „Dość będzie czasu po ślubie".

Albo kiedyindziej:

— To ja jemu mówie: „Pocałuj me Wacuś". A on na to: „Wprzódy taksówke kup, a na całowanie to my mamy zawsze czas".

Innym razem:

— Mało to ja w niego pieniędzy nakładła. Garnitur, jesionka, a teraz żakieta mu się zachciewa. Długi jemu płacić musze i szewcowi prowizje dać za nastręczenie. A on mnie nawet nie przyciśnie, a wciąż wydziwia, to że zębów nie mam, to że alegancji żadnej. A za co ja mam sobie zęby wstawić, jak w niego wszystko poszło?

— A możeby Weronika z nim zerwała? Przecież jemu tylko o pieniądze chodzi.

— To za te wszystkie pieniądze com na niego wydała, to ja jeszcze nie mam męża mieć? Niech się przynajmniej starą panną nie nazywam.

Termin ślubu się zbliżał. Weronika szastała pieniędzmi, kupowała schaby, nogi, napoje.

— Weroniko, przecież wam nic nie zostanie, nawet na pierwszy czas nie będziecie mieli.

— Byle tylko na taksówkę starczyło. A ślub porzondny musi być. Niedość, że starą bierze, jeszczeby się wesela musiał przed ludźmi wstydzić? Ale te taksówke, to jak w niedziele ślub, to ja mu ją dopiero w sobotę kupie.

Jakoż w którąś sobotę kupiono taksówkę, żakietowy garnitur, żółte buty i gorsową koszulę dla narzeczonego.

W niedzielę odbył się ślub.

Niedziela od rana była burzliwa. Najpierw, niemal o świcie przyleciał szewc, żądając podniesienia prowizji za skojarzenie małżeństwa i grożąc wszelkiego rodzaju szantażami. Weronika zatrzęsła się ze strachu, ale istotny brak wszelkiej gotówki dodał jej hartu i pozwolił chuderlawego szewczynę wypchnąć za drzwi.

— Felek, pilnuj Wacka, prosiła szwagra, żeby się jako przed ślubem nie umknął. Byle do ślubu dociągnąć, żeby wstydu nie było. A szewca do niego na krok nie puszczaj.

Weronika, zgorączkowana, od siódmej rozpychała obfitem ciałem biała, ślubną suknię, choć ślub miał sie odbyć popołudniu. O dziewiątej zjawił się pan młody z kolegą, pokazać się w nowym garniturze.

— Wacuś, a czego ci tak spodnie opadają?

— Ty do mojech spodni żadnego prawa nie zgłaszaj.

— Wacuś, co jest z temy spodniamy, zawołała nieustraszenie i nagle. Po raz pierwszy od czasu kiedy ją znałam, wrzasnęła przeraźliwie:

— Sielek nie masz! To ty sielek nie masz. Coś zrobił z nowemi sielkami?

I po chwili przeciągle, z udanym spokojem:

— A to pan, panie Józef, Wacusia sielki nosisz. To ja na to pieniądze trace, żeby koledzy Wacusia mieli na czem portki wieszać? To ty mi się tak wywdzięczasz w dniu ślubu. O Jezu miłosierny, na ślub bez sielek, do kościoła bez sielek idzie.

— Paskiem się ściągłem, tłomaczył się narzeczony.

— Paskiem się do ślubu ściągnył. To ten łachudra cie namówił, żebyś mu sielki oddał. Ja ci Wacuś od początku mówię, nie wdawaj się z tem Józkiem, on cie do tego namówił, on ci te sielki ukrad.

— Józiek sielki ukrad? wrzasnął narzeczony. Mego kolegę tu będziesz wyzywać? To wiedz ty, chorobo jedna, że dla mnie kolega więcej znaczy, jak ty cała, z twojem ślubem. Dla mnie kolega pierwszy przed wszystkiemi. Dla mnie baba nic nie znaczy naprzeciwko mojego kolegi. Już ty mnie teraz do ołtarza nie zawleczesz. Chodź, Józiek, bracie.

Wyszli obaj, trzasnąwszy drzwiami.

Weszłam po godzinie do kuchni. Weronika siedziała na stołku z olbrzymim spuchniętym nosem, z piersiami rozgniecionemi na miazgę pod ciasną suknią, z rozburzonemi włosami, zakarbowanemi uprzednio na druty.

— Co teraz będzie, Weroniko?

— Dobrze będzie, proszę pani. Szwagier powiedział, że go tu sprowadzi. Pani będzie łaskawa prosto przyjść do kościoła.

Pojechałam popołudniu do kościoła, pewna że tam nikogo nie zastanę. Ale byli wszyscy i narzeczony, spokojny i potulny i cały orszak ślubny, bardzo uroczysty. Ślub się odbył bez przeszkód, poczem państwo młodzi i goście pojechali na dwie doby do Pruszkowa.

Na trzeci dzień zjawiła się Weronika służbiście. Miała jeszcze u mnie pozostać przez miesiąc.

— Niech mi teraz Weronika opowie, jak się wszystko odbyło?

— Bardzo dobrze, proszę pani. Szwagier go sprowadził i tak mu powiedział: „Nie zaczynajcie ze mną, panie Wacław, bo ja jezdem nerwowy. Jak się będziecie przeciwić, to was mogę potrącić". To mu się wstyd zrobiło i przyszedł. W bramie jeszcze zaczął krzyczeć, żeby mu pieniądze pokazać, ale się zaczęli z niego wszystkie śmiać, to dał spokój. W taksówce jeszcze się bontował, żeby mu te trzy tysiące do ręki dać. Tak mnie zgniewał, bo mało to pieniędzy odemnie uświadczył? Garnitur kto kupił? Dałam mu w pysk raz na rogu Pięknej i raz przed samem kościołem, to gadać przestał.

— A wesele, jak przeszło?

— Bardzo dobrze, powiedziała Weronika. Jak mówili: „Gorzka wódka, gorzka wódka", to mordę skręcał i pocałować me nie chciał. Ale spokojny był.

Zawahała się, podeszła bliżej i powiedziała z przejęciem:

— Ale on ze mną żyć nie chce, prosze pani. Na drugie noc to ja mu mówię: „Chodź Wacuś spać". A on mi na to, że ze mną spać nie będzie. I układł się w jedno łóżko z kolegą, a ja ze siostrą.

— I nic?

— Nic. On powieda, że się kobiety brzydzi. Takie ma zdanie.

— I co będzie?

— Dobrze będzie, prosze pani. Już ja go namówię.

Upłynęły dwa tygodnie. W oczach Weroniki paliła się gorączka, „promienie" wystąpiły, aż na uszy, wargi spieczone domykały się z trudem. Aż pewnego ranka weszła do mnie miękka i omdlała i zachichotawszy wstydliwie, powiedziała:

— Już!

— Co Weronika mówi, naprawdę?

— A jakże. Ale to nie taki cymes, jak powiadają. A on mi jeszcze powiada, że ja kuraka pod poduszkę schowała i zarżnęła, jak on spał. Słyszane rzeczy, żeby takie coś powiedać? Skąd jabym

kuraka wzięła teraz. Kurak cztery złote kosztuje.

— A co on na to?

— „Może i nie kurak, powiada, ale ty prawiczką nie była i nie jesteś. A jeżeli i byłaś to i tak mnie wsio ryba". Ale potem to był dobry, uwalił się i spał.

— Tak, że już teraz Weronika zadowolona?

— Czemu nie, ale jak rano miał wstać, to go jakoś zemgliło. To powieda, że to odemnie, że mu się od kobiety zawsze tak robi. To ja mu mówię: „Wacuś, abo ty co zjad, abo serce masz słabe".

I po chwili:

— To dobry chłop, prosze pani, ale serce ma słabe i bez to taki nerwowy.

Wkrótce Weronika odeszła i zamieszkała na Przyokopowej z mężem. Rzucił ją po paru miesiącach, sprzedał taksówkę i znikł z pieniędzmi. Zjawiał się co parę miesięcy, zabierał oszczędności i oburkliwie znosił jej przymilania.

— Z kolega wszystko traci, mówiła z rezygnacją Weronika. Kobieta u niego nic naprzeciwko kolegi.

Irena Krzywicka

FASZYZM FRANCUSKI

Londyńska *News Chronicle* zamieściła artykuł o „faszyzmie francuskim". Przytaczamy parę urywków:

„Dawny profesor filozofji, liczący 39 lat, o atletycznej budowie, pełen siły i entuzjazmu, szef bataljonu podczas wielkiej wojny, a obecnie poseł socjalistyczny z okręgu paryskiego — oto człowiek, który zaniepokoił Francję oryginalnem, niespodzianem wystąpieniem, które jest pierwszą prawdziwą inowacją w zakresie wewnętrznej polityki Francji od daty zawieszenia broni. Nazywa się Marcel Deat. Cisnął bombę na paryskim kongresie socjalistów i stworzył rozłam, sam stając na czele ruchu, który porównywują już z narodowym socjalizmem niemieckim i faszyzmem włoskim.

„Dwudziestu czterech członków parlamentarnej grupy socjalistycznej przyłączyło się do Deat'a, uznając, że partja ich winna się przekształcić i zmienić ideologję, stać się ostoją autorytetu — i to jaknajrychlej, by wyprzedzić analogiczne zamierzenia prawicy, kierowanej przez Tardieu.

„Zbuntowani socjaliści, odrzuciwszy wiarę w internacjonalizm, głoszą, że nacjonalizm niemiecki jest niebezpieczną groźbą dla Francji, która powinna wzmocnić ducha narodowego. Celem zapobieżenia „chwiejności i nieobliczalnym zmianom rządów" neosocjaliści żądają autorytetu silnej i zdyscyplinowanej partji, a niektórzy chcą dyktatury.

Marcel Deat i jego zwolennicy są przeciwnikami kapitalizmu. Lecz są również wrogami rewolucji proletarjackiej. Przestali wierzyć w socjalizm w obliczu jego klęski i bankructwa w Niemczech i w Europie środkowej.

„Neo-socjaliści są przedewszystkiem Francuzami. Głosowali za przyznaniem kredytów wojennych, żądanych przez rząd Daladiera. Uczynili to w zrozumieniu hitlerowskiego niebezpieczeństwa i rozpoczętej już akcji dozbrajania Rzeszy. Ich hasła są przedewszystkiem narodowe. Są to narodowi socjaliści.

„We Francji powodzenie ruchów politycznych zależy w znacznej mierze od osoby ich wodzów. Marcel Deat był jeszcze przed kilkoma tygodniami zupełnie nieznany. Jego najbliżsi współpracownicy, Marquet, mer Bordeaux i Montagnon, młody inżynier paryski, również nie byli znani. Trudno tedy ocenić ich zdolności organizacyjne".

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W „basenie naddunajskim" nie było w tym roku martwego sezonu politycznego. Panowało tam i panuje wyjątkowe ożywienie. Uwagę polityków i prasy skupiła na sobie uodporniona przeciw zarazie hitlerowskiej Austrja. Losy zatargu, którego stawką jest niepodległość austrjacka, są ważkim atutem w dyplomatycznych rozgrywkach pomiędzy Rzymem, Berlinem, Paryżem i Londynem, a ostatnio i Budapesztem. Młody premjer, Juljusz Gömbös, odbył niedawno trzy podróże, z których każda spotkała się z najrozmaitszemi, często sprzecznemi komentarzami. Premjer węgierski zwiedził Berlin, Wiedeń i Rzym. Podróże te związane były z projektem naddunajskich „kombinacyj" i rewizjonistycznemi aspiracjami Węgier. Traktat w Trianon odebrał Węgrom dwie trzecie terytorjum i 13 miljonów ludności. Zrozumiałe są tedy ich postulaty rewizjonistyczne. Małe i słabe Węgry liczą na rewizję pokojową, którą spodziewają się osiągnąć dzięki pomocy wielkich mocarstw i ich presji na sąsiadów węgierskich.

Cała polityka węgierska nastawiona jest na rewizję traktatów. Lecz gdzie szukać sprzymierzeńców? Czy we Włoszech, które dążą do osłabienia wpływów Francji w basenie naddunajskim? Czy dążyć do bezpośredniego porozumienia z najbliższymi sąsiadami? Czy też związać się z rewizjonizmem niemieckim?

Próbą rozstrzygnięcia tych naczelnych problemów węgierskiej polityki były podróże premjera Gömbösa.

Z chwilą pojawienia się włoskiego projektu unji austro-węgierskiej, związanej z restauracją Habsburgów, Gömbös, przeciwny wszelkim koncepcjom odbudowy monarchji, podjął natychmiast kroki dla udaremnienia planu Mussoliniego. Złożył wizytę Hitlerowi, który zapewnił podobno Gömbösa o daleko idącej pomocy w sparaliżowaniu restauracji habsburskiej. Podróż do Berlina spotkała się z najwyższem oburzeniem opinji węgierskiej. Ani jeden z posłów nie próbował nawet wziąć w obronę premjera przed atakiem Izby budapeszteńskiej. Gömbös zręcznie opuścił przegraną pozycję. Zneutralizował wizytę berlińską podróżą do Wiednia, który był jawnie urażony, że w chwili konfliktu austro-niemieckiego, Węgry debatują z Hitlerem. Gömbös porozumiał się z Dolffussem na platformie obustronnej niechęci do restauracji habsburskiej, a jednocześnie zawarł ważkie gospodarczo dla Węgier tranzakcje wymiany węgierskiego zboża za austrjackie drzewo.

Podróż rzymska była najważniejsza dla Gömbösa. Po wielogodzinnych konferencjach, Mussolini zapewnił Gömbösowi poparcie dla tez rewizjonistycznych. Zastrzegł się jednak, że wobec pogmatwanej konfiguracji sił w basenie naddunajskim, pomoc ta ograniczy się narazie jedynie do propagandy na rzecz rewizji traktatu w Trianon. Obok tego poparcia, o charakterze nieco platonicznym, Włochy ofiarują Węgrom korzyści gospodarcze. Węgry mają wyprzeć z włoskiego rynku zbytu Jugosławję. Wzamian za to Włochy żywią nadzieję doprowadzenia do zbliżenia austro-węgierskiego, które byłoby realną formą zapobieżenia Anschlussowi.

Chodzi Włochom już nie o unję polityczną, lecz o daleko idące porozumienie gospodarcze obu krajów.

Tak tedy zazębiają się w kompleksie spraw naddunajskich interesy wielkich i małych mocarstw, a małe państwa—Austrja i Węgry — odgrywają pierwszorzędną rolę w rozgrywkach, jakie się toczą pomiędzy Berlinem, Rzymem i Paryżem.

***

Zaraza hitlerowska próbuje przenieść się na teren... Szwajcarji. Chce wedrzeć się po linji narodowej, rasowej solidarności Niemców Rzeszy z Niemcami Szwajcarji. Na nawoływania Hitlera odpowiedziały echa helweckiej Argowji, Turgowji i Berneńskiego Oberlandu. W Zurychu spiskują już niemieccy rasiści, otoczeni sympatją ludności, która chętnie słucha obietnic, zapewniających niemieckiej Szwajcarji należne jej miejsce w przyszłej Pangermanji.

Najpoważniejsze organy prasy szwajcarskiej jak *Neue Zuricher Zeitung i Gazette de Lausanne* protestują przeciw coraz intensywniejszej propagandzie hitlerowców w kierunku przyłączenia Szwajcarji niemieckiej do Reichu. Dzienniki te zwracają uwagę na szereg niepokojących objawów, świadczących o czynnej akcji Niemiec. Hitlerowcy wykupują z rozkazu swego rządu w germańskiej Szwajcarji domy, posiadłości, hotele. Różne korporacje narodowo-socjalistyczne zakupiły sobie w Szwajcarji osiedla. Daje się też zauważyć zwiększona ekspansja gospodarcza Niemiec o charakterze wybitnie dumpingowym.

Opinję publiczną niepokoi poważnie szereg incydentów, jakie miały miejsce na granicy szwajcarskiej. Grupy umundurowanych hitlerowców wkraczają na terytorjum helweckie, gwałcąc przepisy graniczne, dokonywują bezprawnych aresztowań i rewizyj i uprowadzają obywateli pod groźbą rewolweru.

Nastrój, jaki się wytworzył w Szwajcarji naskutek prowokacyj niemieckich, przypomina analogiczne niemal metody, stosowane wobec Austrji.

***

W Stanach Zjednoczonych rozgrywa się gigantyczna próba wcielenia w życie zasad gospodarki planowej, próba, która w warunkach życia amerykańskiego ma znaczenie rewolucyjne. Kierownicy polityki Stanów świadomi są tego charakteru swych poczynań i reform. Dowodzą tego wynurzenia „Assistant Secretaries" prezydenta Roosevelta. Wpływowy prof. Raymond Moley pisze, że „nowa administracja wyobraża całkowicie oryginalną koncepcję polityczną". Rex Tugwell stwierdza, że „to co się stało, było rewolucją, a nie wyborem". Diccison mówi o „nowej definicji stosunku rządu do narodu". Wallace o „nowym porządku społecznym", a Roper o „nowej erze w dziejach świata, erze polityki naukowej (scientific politic)."

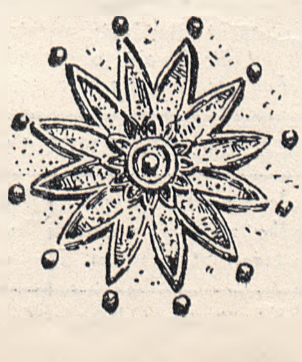
Idee, które dojrzewały zwolna w ciszy gabinetu, powołano dziś do twórczego zastosowania w życiu politycznem, społecznem i gospodarczem. Co najbardziej zadziwia w akcji przezwyciężania kryzysu amerykańskiego, — zauważają słusznie ekonomiści — to fakt współistnienia systemu socjalizmu państwowego z jednoczesną gorączką spekulacyjną 120 miljonów Amerykanów, którzy witają inflację przez zwyżkę cen i spadek pieniądza, jako zapowiedź wydźwignięcia się wzwyż i spełnienia snów o powrocie prosperity.

Jakie mogą być rezultaty jednoczesnego działania spekulacyjnych dążności mas i tendencyj przebudowy społecznej, do której zmierzają kierownicy życia politycznego Stanów Zjednoczonych? Czy niepowodzenie akcji uzdrowienia ustroju gospodarczego nie wtrąci Stanów Zjednoczonych w wir prawdziwej rewolucji? Likwidacja indywidualistyczno-kapitalistycznej gospodarki, jaką próbuje przeprowadzić Roosevelt, jest narazie próbą i postawieniem problematu, a nie jego rozwiązaniem.

W stosunku do zagranicy i problemów współpracy międzynarodowej Ameryka coraz wyraźniej wkracza na drogę izolacji, definitywnego zasklepienia się gospodarstwa amerykańskiego w sobie i rozluźnienia łączności z gospodarstwem światowem. Sekretarz stanu i najbliższy doradca Roosevelta prof. Moley, omawiając fiasko Konferencji Londyńskiej, wypowiedział swoje poglądy na temat gospodarstwa światowego. Moley, pełen sceptycyzmu w stosunku do współpracy międzynarodowej, jako drogi do przezwyciężenia kryzysu, samo pojęcie gospodarstwa światowego uważa za przestarzałe i chimeryczne, oraz zapowiada fiasko wszelkich prób pokonania kryzysu środkami międzynarodowego porozumienia.

Tak się przedstawia odmłodzona koncepcja autarchji w Stanach Zjednoczonych.

Zastępca



LISTY DO »EPOKI«

W WIEKU XX-TYM...

Szanowny Panie Redaktorze!

W niewielkiej odległości od Warszawy, w miejscowości letniskowo-klimatycznej mieściło się przez lat szereg sanatorjum dla chorych gruźliczych. Władza powiatowa, nie mogąc tolerować obrażania przepisów sanitarnych, orzekła, iż zajmowany przez sanatorjum budynek nie nadaje się ze względów higjenicznych na tego rodzaju zakład. Sanatorjum przeniesione zostało na inne, bardziej odpowiednie miejsce. Sanatorjum opuściło tę willę, a ostatnie utensylja, pozostawione w budynku, oraz śmietniczki, spluwaczki na drzewach, zostały zabrane w styczniu — lutym r. b. Należało wówczas budynek należycie wydezynfekować, przemalować wewnątrz i zewnątrz budynek całkowicie, zamieść i wyszorować podłogę, oraz przemalować dużą altanę, w której przesiadywali chorzy, t. j. doprowadzić tę willę do takiego stanu, aby przyszli ewentualni mieszkańcy nie byli w ciągłej obawie o swe zdrowie, szczególnie w okresie, gdy tysiące złotych przeznacza się na zapobieganie i walkę z wrogiem ludzkości — gruźlicą.

Gdy w lipcu r. b., prowadzony przez oficjalnego informatora mieszkaniowego, trafiłem i do tej willi, w poszukiwaniu lokalu na letnisko, stwierdziłem, że mieszkało tam już kilkanaście rodzin z małemi dziećmi. A ponieważ nie przyszło mi na myśl, że istniało w tej okolicy jakieś sanatorjum i właśnie w tym budynku, przeto, widząc zresztą, że ludzie już w tym budynku mieszkają, wynająłem i ja w dobrej wierze lokal letni.

Widocznie właściciele tej posesji są odznaczeni nieprzeciętnemi zdolnościami, skoro potrafią tak wciągnąć warszawskiego letnika, że wszystkie wady widzi ten ostatni nie przy wynajmowaniu, ale już po wprowadzeniu się. Gdy się tylko z rodziną sprowadziłem, uregulowałem należność, wyjawiono mi przeznaczenie owej altany, oznajmiono mi, że właśnie przed dwu laty było tu sanatorjum. Widać letnicy już za pierwszym słupem granicznym gubią swe doświadczenie, wiedzę i rozsądek, bo tylko w ten sposób mogę sobie wytłomaczyć, że te rodziny letników mieszkają w budynku, w którym: 1) tylko ściany wewnątrz zostały odnowione w pokojach wynajętych, bo przylegający do wynajętego mi lokalu, pokój — po zabiegach leczniczych — nawet wewnątrz nie został odnowiony; 2) drzwi, okna, okiennice, werandy, altana — to wszystko nieodnowione, nie przemalowane — a na drzewie widnieją jeszcze napisy chorych z podaniem roku umieszczenia tych zapisków; 3) na drzwiach widnieją jeszcze tabliczki blaszane rdzą pokryte, które przez tyle lat dotykali gruźlicy, pozatem w budynku t. zw. gospodarczym obok studni w oknie wisi siatka ciemna — druciana — pozostałość posanatoryjna. W sąsiednich izbach gruz i druki sanatorjum.

Przebywanie w takim budynku jest niebezpieczne, związane z ciągłą obawą, czy aby w drzewie niepomalowanem na olejno po sanatorjum, nie tkwią jeszcze bakcyle chorobotwórcze.

Następnego dnia po wprowadzeniu się, mimo znacznych kosztów, furmanka zawiozła moje rzeczy z powrotem do Warszawy. Wynajmujący mi lokal pienię-

dzy nie zwrócił, nawet wynajął już ten lokal w drugim dniu innemu „amatorowi". Czyli gospodarz ten w rezultacie otrzymał za lokal znacznie więcej, aniżeli kosztuje odpowiednio urządzony lokal w innej willi, pobrał bowiem opłatę podwójną za ten okres czasu.

Sprawa została zgłoszona do Władz Sanitarno - Administracyjnych. Została na miejsce wydelegowana przez Starostwo Powiatowe w Warszawie komisja lekarska. Niezależnie jednak od wyniku dochodzeń Władzy Administracyjnej, powinniśmy napiętnować tego rodzaju karygodne postępowanie właścicieli willi, którzy drwią z wszelkich zasad kultury i cywilizacji wieku XX-go.

Stały prenumerator „Epoki"
Warszawa, w sierpniu 1933 r.

WYSTAWA „SZTUKA I TURYSTYKA" w I. P. S.

Obrazy Fałata, Kędzierskiego, Skoczylasa, Rafała Malczewskiego, Krzyżanowskiego, Kopczyńskiego, Czajkowskiego i innych wybitnych artystów, kilkaset zdjęć najlepszych polskich fotografów, zebranych przy pomocy Wydziału Turystycznego Ministerstwa Komunikacji, Wydziału Sztuki Ministerstwa Oświaty i Polskiego T-wa Fotograficznego, wreszcie kolosalna mapa turystyczna (5 m. × 5 m), wykonana z wielką pomysłowością przez młodych malarzy Hładkównę, Manteuffla i Wajwóda, dają zupełnie wyjątkową okazję zorjentowania się w pięknie i bogactwie naszego pejzażu i architektury, i wybrania sobie terenu na przyszłe wycieczki. Interesująca ta wystawa zostanie nieodwołalnie zamknięta dnia 3 września b. r.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu R. B. w Warszawie. Pisze Pan: „Przesyłam tę garść impresji i proszę, aby redakcja uważnie je przeczytała. Są to właściwie poezje pisane prozą i obawiam się, że przez swój wybitnie indywidualny charakter zostaną odrzucone. Zawadą do druku jest, zdaje się, brak szablonowości pisarskiej i mistycyzm, w który należy się wgłębić." „Zawadą" w danym wypadku jest coś zupełnie innego. Początek „impresji" p. t. „Dziewczyna": „Ogród witał wiosnę. Wiatr pieściwie łaskocący witał wiosnę. Dzwony rozdzyngane, gaworząc ze sobą, witały wiosnę..." Początek impresji p. t. „Dzieciństwo": „Nie mogę Wam powiedzieć, co to za skarb najdroższy. Tak często dobijam się do niego, do sezamu mej duszy!... Czuję, że opowiedzieć wam wszystko o swojem dzieciństwie, o tej rozigranej toni morskiej — nie umię..." Otóż to: poprostu nie umie Pan pisać.

Panu J. Kwiatkowskiemu w Zamościu. Wysłaliśmy wszystkim.

Panu Ignacemu Hochglikowi w Warszawie. Dziękujemy serdecznie.

Panu inż. M. A. w Warszawie. Uwagi całkiem słuszne.

Pani Janinie St. w Przemyślu. To cała broszura! Rzecz dałaby się doskonale streścić. Strasznie dużo słów! Kwestja sama słusznie ujęta.

Panu A. M. w Łodzi. Nie zajmujemy się takiemi sprawami

P. „Alexowi" w Kaliszu. Nie możemy zamieścić. Pisaliśmy już na ten temat kilkakrotnie.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jan Stachniuk: Kolektywizm a naród. Nakładem Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Poznań 1933.

Stefan Napierski: Rozmowa z cieniem. Powieść. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Wincenty Lutosławski: Jeden łatwy żywot. Nakład F. Hoesicka. Warszawa 1933.

J. N. Kłosowski: Tańcząca karczma. Powieść. Wydawnictwo Literacko-Naukowe. Kraków 1933.

Stefan Zweig. Marja Antonina. Z ilustracjami. Przekład Zofji Petersowej. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1933.

Erich Kästner: Fabjan. Powieść. Przekład Melanji Wasermanówny. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1933.

Jerzy Kurnatowski: Współczesne idee społeczne. Nakład Fundacji wieczystej im. H. J. Chankowskiego. Warszawa 1933.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.- 543 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.